№ 17. Warszawa, dnia 13 (25) Kwietnia 1885 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

TREŚĆ: Miłość poetów (dal. c.). — Senne widziadła (wiersz). — Klemens Janicki, opowiadanie historyczne, przez Michała Jezierskiego (dalszy ciąg) — Z piosnek wiosennych (wiersz). — Dyoniza (dramat). — Z pod naszej strzechy. — Wiadomości z kraju. — Wiadomości z zagranicy. W Dodatku: Mona Seully, przez autorkę „Molly Bawn", przekład K. P. (arkusz 10).

MIŁOŚĆ POETÓW.

SZKIC LITERACKI.

(Dalszy ciąg.)

I.

Kochanowski i Karpiński.

Książę poetów polskich, Jan Kochanowski, żył w wieku szesnastym, wieku zdrowia fizycznego i moralnego. Siłę też i zdrowie widzimy w jego życiu, utworach i miłości.

Jakąż była ta miłość? Czy poeta jednej tylko kobiecie serce swe ofiarował, jedną tylko kochał? Czy myśl o tej jednej towarzyszyła mu od młodości do grobu?

Choćby się to komu nie podobało, choćby kto wolał taką stałość średniowieczną — musimy w imię prawdy wyznać: ideały Kochanowskiego nie rzadko się zmieniały.

Szukał rozrywki, przyjemności, wrażeń i znajdował je przy boku pięknych kobiet, które zawsze i wszędzie zapalały ognistą fantazyę, pociągały swym urokiem ku sobie.

Takich fantazyi miał Kochanowski wiele a w pismach jego pozostały wyraźne ślady tych chwilowych zachwytów i słomianych pożarów. Zresztą nie potrzebujemy ukrywać, że Kochanowski za młodu lgnął do życia hulaszczego, że wychował się w czasach, w których lubiano się bawić, a dwór królewski nastręczał po temu wiele sposobności.

Nie zawsze znajdował wzajemność, nie przeszkadzało mu to wszakże pisać miłosnych wierszy i przesyłać ich do rąk lubej.

Szczęśliwa karto, ciebie ona swemi,
Piastować będzie rękami ślicznemi,
Ciebie obejrzy wdzięcznem okiem swojem.

Pisze do Reginy Straszówny i zazdrości tej karcie:

Ty tam możesz być szczęsna, że cię swemi
Wdzięcznie całuje usty różanemi,
Gdzież to człowiek mógł naleźć jakie czary,
Żeby się umiał przedzierzgnąć w swe dary?

Ale pragnienie takiej rozkoszy pozostało tylko pragnieniem, bo panna Regina nie miała serca dla poety, a kiedy oddała rękę innemu — Kochanowski nie rozpaczał — może dlatego, że wpierw już swe afekta w inną zwrócił stronę. Ten fakt wpłynął na życie poety stanowczo, wywołał silne bardzo wstrząśnienie, dlatego wprost do niego przejdziemy.

W domu możnym znalazł Kochanowski kobietę, której wdzięki zrodziły w nim silne uczucie, wzbudziły gorące pragnienia, wywołały miłość potężną, nie jak poprzednie serdeczną fantazyą tylko. Jaką była ta kochanka serca naszego poety, możemy sobie wyobrazić ze słów jego:

Twoje nadobne lice podobne jest zorzy,
Która nad wielkiem morzem rano się czerwieni,
A z nienagła ciemności nocne wświatłość mieni.
Takaś ty w oczach moich...
Mnie podobno już próżno szukać innej rady,
Jeno smutnego serca podpierać nadzieję.
A ty tak sroga nie bądź, ani mnie tym karzy,
Bych długo nie miał widzieć twojej pięknej twarzy.

Gdzieindziej znowu powiada:

Aniołowi podobna bardziej, niż człowieku,
Raj tam, gdzie ona siedzi, a którędy mija,
Za jej stopami róża wstawa i lilija.
A ona myśl wspaniałą znosząc z układnością,
I niezdobyte serca zwycięża miłością,
A człowiekiem tak władnie, jako słońce wonnym
Nawrotem, abo magnes żelazem nieskłonnem.

Piękna, ukochana nie odwracała się od Kochanowskiego, chętne ucho dawała jego słowom i pieśniom miłosnym, podobno nawet nosił na palcu pierścień od niej — a jednak...

Ona była córką znakomitego rodu — Kocha-

nowski szlachcicem ubogim. Nie straszyła go wprawdzie ta różnica stanu — toż szlachcic na zagrodzie równym był wojewodzie. Niemniej przeto starał się Kochanowski usunąć przedział zasługą osobistą.

Był poetą cenionym wysoce, był pierwszym w kraju i sądził, że jako takiemu nie odmówi senator córki.

Stało się inaczej.

Chwalono poezyę, czczono autora w salonach magnackich i na dworze królewskim, ale nie pozwolono na mezalians. Kochanowski musiał przełknąć czarną polewkę, ale serce krwawiło mu się długo i pod wpływem bólu stworzył najpiękniejsze pomniki poezyi, które przetrwały wieki i wieki jeszcze przetrwają. Owocem pracy, w tej smutnej dla poety dobie był przekład Psałterza Dawidowego.

Czytając kartę po karcie, słowo po słowie, widzimy wielką różnicę pomiędzy oryginałem a przekładem, czujemy głębię bólu, który targał sercem poety i dyktował mu słowa oryginalne a piękne. Całą duszę zbolałą i znękaną zawodem przelał poeta w Psałterz i stworzył dzieło wiekopomnej wartości. Psałterz pozostanie dla nas zawsze zwierciadłem cierpień Kochanowskiego, będzie miarą uczucia, które nim władało.

Po zawiedzionych nadziejach i rozwianych marzeniach, szukał poeta ukojenia w Bogu i pieśniach głębokiej religijności.

Drugi już raz serce jego nie zabiło równie, ani nawet podobnie. Później poznał dziewczę skromne, ciche, kochające go i poprowadził je do oltarza — może bez wielkiej miłości. Nie znalazł rozkoszy których niegdyś pragnął, lecz zdobył sobie spokój, będący jedynym lekiem na dusze zbolałe.

* * *

Wiek ośmnasty wydał poetę popularnego, twórcę kilku istotnie pięknych poematów, ale chorego na wybujałość fantazyi i rozwodnienie uczucia.

Był nim Karpiński.

W epoce sielanek wychowany, został też sielankopisarzem, popychając dalej jeszcze wybryki niedołężniejącej generacyi. Z całej poezyi Karpińskiego wieje niezdrowie, sztuczność, fałsz poprostu, ckliwość pokrywająca brak istotnego uczucia. Tkwiło w nim ziarno tego ducha wieku — powiada jeden z krytyków — który się maskował ciągle i umarł z maską na wykrzywionej od spazmatycznego śmiechu twarzy.

Udawał pokornego, a miał dumę pełną pragnień i niczem nienasyconą pychę — był niby zadowolonym z ubóstwa, a jednak miał żal do świata, że go nie obsypywał dostojeństwy i złotem. Na pozór cichy i skromny, w głębi duszy nie był bynajmniej moralnym, wyobraźnię miał chorobliwą, zdenerwowaną, często nie umiał ukrywać rozswawolenia myśli.

Jeszcze na uniwersytecie będąc, zakochał się w młodej pannie, która całem sercem do niego przylgnęła. Z nią to spędzał długie godziny dni i wieczorów, śpiewając jej piosenki czułe, tkliwe, rozlazłe. Mazgajstwo i chorobliwe rozdrażnienie dyktowało mu utwory pełne łez i żalów, narzekań i udanych bólów. Skarżył się na nieczułość kochanki, a jednak była to kobieta, która go miłowała prawdziwie, stale i wiecznie; kobieta o wiele wyższa od poety, bo gotowa dla miłości uczynić wszystko i wszystko poświęcić.

Jedyną jasną stronę tego stosunku przedstawił poeta we wdzięcznej strofie:

Miłość sen nam zabrała,
Miłość żyje niespaniem,
Nikt nie widział, nie szydził,
Niebo świadek jedyny!
Jam się nieba nie wstydził,
Miłość była bez winy.

Ukochaną Karpińskiego znamy tylko z tego, co o niej napisał, lecz świadectwo to wystarcza jej na chlubę i wyżej ją stawia, aniżeli jego nawet — w tej sprawie.

Dziewczę ubogie kochało szczerze i stale, Karpiński czułe miał serce, lecz po za miłością szukał jeszcze czegoś więcej.

Urodzony i wychowany w bycie miernym, pragnął zaszczytów i bogactwa. Talent spaczony pojęciami wieku nie wiódł go na drogę prostą, choćby ciernistą.

Ona mu mówiła: „ja się dla ciebie prząść nauczę i grzędę kopać będę" (własne słowa Karpińskiego), a on... radził jej wziąć człowieka bogatego za męża, sam poszedł w świat szukać szczęścia i... zyskowniejszego małżeństwa!

Smutna to kàrta w dziejach miłości poetów naszych — świadectwem ona wymownem, iż w wieku sielanek i niezmiernego rozczulenia, materyalizm panował nad umysłami gruby i serc nawet z swych więzów nie zwalniał.

Karpiński poszedł w świat za groszem. Wiele sił zmarnował na te starania, a jednak w chwilach smutku i goryczy musiał przyznać, iż najbardziej szkoda było zmarnowanego uczucia. Nic mu tej straty nie powetowało. Odtrącił najszlachetniejsze serce, aby później przekonać się, iż nie masz szczęścia za górami.

Pierwsza ukochana Karpińskiego nazywała się Brösellówna, a w poezyi znamy ją pod imieniem Justyny. Justyna była wówczas imieniem modnem i dlatego ukochaną swoją tak poeta ochrzcił. Do niej wyśpiewał najlepsze swe sielanki i jej zawdzięcza, iż współcześni go znali i cenili.

Dla nas, dzisiaj, sielanka jest wybrykiem chorobliwej fantazyi, a rozmijając się zbyt często z prawdą, ani niczego nie nauczy, ani trwałej przyjemności sprawić nie może. Ale w wieku XVIII sielanka była w modzie, której hołdowali wszyscy, nie wyjmując nawet najbardziej światowego i salonowego króla Stanisława.

Z objęć zacnej, ale prostego ducha kochanki rwał się poeta na wielki świat, jak ćma do lampy, dążył do dworu królewskiego. Znając wielki wpływ Naruszewicza, ofiarował mu wiersz p. t. „Sumienie" i tem go sobie ujął. Naruszewicz, jak wszyscy współcześni rozmiłowany w sielankach, przedstawił Karpińskiego królowi i wtedy to grzeczny Stanisław August wyrzekł pochlebne dla poety słowa: „Waćpana sielanki dawno już nam go zaleciły. Kochanek Justyny będzie i w Warszawie kochany..."

Więc tej jednej, jedynej szczerej miłości, zawdzięczał sławę na dworze królewskim i życzliwość z jaką go tam przyjęto. Czy wtedy wspominał o tej smutnej, porzuconej, zatopionej w prozie powszedniego życia? Nie wiemy — to tylko pewna, iż później, później myślą wracał do niej często.

Świat i ludzie zawiedli go. Dostojeństw nie osiągnął, pieniędzy nie zdobył, a stracił wszystko, rozbił złudzenia, z któremi w świat wyruszył. Wtedy-to napisał istotnie piękny wiersz „Powrót z Warszawy na wieś".

„Otóż mój dom ubogi! też ubogie ściany,
Też okna różnoszybne, piec niepolewany,
I niska strzecha moja! Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcej pochyliło!
Szczęśliwy, kto na małym udziale przebywa...

. . . .

Com zyskał, że rzuciwszy ubogie zagrody,
Chciałem nieopatrzny płynąć przeciw wody?

. . . .

Com zyskał na wysokie, pańskie pnąc się progi!
Gdzie po śliskich ich stopniach obrażając nogi,
Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z pa-[nem.

. . . .

Otom wrócił uboższy, niż wyjechał z domu...

Smutny to obrachunek życia i nie dziw, że posiwiały sielanko-pisarz bolał nad zmarnowaną dolą i wspominał wtedy tę, która jedna, jedyna mogła była uczynić go szczęśliwym. Więc nie dziw, że w takiem smutnem pogrążony rozmyślaniu, napisał w pamiętniku:

„Jeśli żyjesz jeszcze najpierwsza kochanko moja, zdrowia ci i szczęścia!"

Ale — było już zapóźno.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

SENNE WIDZIADŁA.

Za lasem, za górą przygasnął blask słońca,
I cisza i spokój spłynęły dokoła,
A pomrok ponury, straszliwy, bez końca,
Roztoczył swe cienie na miasta, na sioła.

Po dworach, po chatach, śpią starcy i młodzi
Snem cichym, spokojnym, nieznając czem troski;
Wnet księżyc twarz bladą podniosłszy, wychodzi
Z chmur łona spływając promieniem na wioski.

Ów nocy przyjaciel, posępny, bladawy,
Przedarłszy się z trudem przez leśne gęstwiny,
Osrebrza swem światłem jeziora i stawy,
I wzniosłe gór szczyty i ciche doliny.

W tem od prac codziennych chwilowem wy-[tchnieniu,
Co daje spoczynek i spokój przyrodzie,
Zabacza człek biedny o swojem strapieniu,
Cierpiący o mękach a nędzarz o głodzie.

Bo nocne marzenia zbawiają świat cały,
W znikome widziadła uroku pryzmatem:
W nich młodym się widzi staruszek zgrzybiały,
Nikczemnik potężnym, ubogi bogatym.

W nich dziewczę spłakane, co nigdy nie znało
Rozkoszy miłości, przy pracy i trudzie,
Odkrywa przed sobą zdumione wspaniałą
Potęgą uczucia w snów błogich ułudzie.

Lecz ledwie blask słońca różową jutrzenką,
Ozłoci niebieskich sfer górne obszary,
Z promieniem co zajrzał o świcie w okienko,
Znów wszystko bezludne przybiera rozmiary.

Potrząsa łachmanem wyrobnik ubogi,
Ziębnięty, pierś nagą ukrywa przed chłodem,
Łaknącym posiłku dokucza głód srogi,
Staruszek zgrzybiały przestaje być młodym.

A dziewczę któremu sen błysnął uroczy,
Które wśród czczych marzeń ujrzało kraj cudów,
Stłumiwszy westchnienia ociera swe oczy,
I wraca samotne do pracy, do trudów.

I czar się wśród światła dziennego rozpryska,
Na nikłe atomy wraz z rojem snów marnym,
I w miejsce przebrzmiałej ułudy zjawiska,
Zostaje nam ziemia z żywotem ofiarnym.

Ludwik Niemojowski.

KLEMENS JANICKI.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

PRZEZ

Michała Jezierskiego.

(Dalszy ciąg.)

I ująwszy go za rękę poprowadził do żony. Skłonił się Janicki damom i żywo ogólna rozpoczęła się rozmowa. W gronie niewiast otaczających wojewodzinę, jedna jaśniała taką pięknością i urokiem, iż raz na nią spojrzawszy, niemożna było oderwać wzroku, od jej błyszczących oczów, od ust koralowych, od świeżego lica z brzoskwiniowym rumieńcem, jakaś siła magnetyczna ciągnęła ku niej. Pod powłoką skromności, pod tą najpiękniejszą szatą dziewiczą, dojrzeć można było z wyrazu twarzy żywy umysł i wrzące serce. Jak w starożytnym świecie od muz czekał poeta natchnienia, tak dziś takie istoty w zastępstwie bogiń, tworzą nieśmiertelnych wieszczów. One jako urzeczywistnione ideały, jako westalki podsycają ciągle płomień i zapał poety, należeć powinny do potomności, gdyż utwory wieszczów są równie ich dziełem.

Obok tej pięknej dziewicy siedział mężczyzna lat czterdzieści kilka mający, w stroju podobnym do hiszpańskiego. Aksamit, złote hafty i atłas, składały jego ubranie. Ze śniadą twarzą, z regularnemi rysami, lecz bez żadnego wdzięku, z czerwonemi grubemi ustami i żywemi ruchami, oznaczał potomka południowych krajów z wrzącą namiętnością, jak ich palące słońce. Półgłosem prowadził rozmowę, dowcipem chciał zabawić sąsiadkę, opowiadaniami żądał wzbudzić zajęcie, lecz dziewica najczęściej milczała i twarz się rozradowała, gdy wezwano do obiadu. Gdy siedzący koło niej podał rękę, aby ją powieść do stołu, ona usunąwszy się rzekła:

— Hrabia jest codziennym naszym gościem, tych panów pierwszy raz mamy przyjemność mieć na obiedzie, grzeczność i gościnność nakazuje dać im pierwszeństwo.

Zwróciwszy się do Janickiego rzekła:

— Panie Klemensie, podaj mi rękę.

Dziewica to wyrzekłszy, zapłoniła się jak wiśnia, dziwiąc się sama swojej odwadze. Lecz to była dla niej chwila stanowcza, wiedziała, że raz go wybrawszy, ten przywilej na zawsze mu pozostanie. Pani wojewodzina podawszy rękę najstarszemu wiekiem, udała się do jadalni i długim rzędem wszyscy parami za nią postępowali.

Stół długi okryty był obrusem ze złotemi frendzlami, na nim różne srebrne ozdoby, nakształt kiosków, lub pogańskich świątyń; na srebrnych półmiskach mieściły się różne potrawy i pieczywa, dziwnie przestrojone: tu leżał pozłocisty baran, na innym siedział orzeł lub kogut, pod temi postaciami ukrywały się różne przysmaki. Puhary srebrne różnej wielkości rozstawione po stole, a przy nich rzadsze od srebra szklanne kielichy, obok butelki z tokajem, muszkatelem i małmazyą. Kawalera siedzącego przy damie, było obowiązkiem jej usługiwać, nabierać potrawy, zmieniać talerze, które oddawano służbie. Rozmowy były poważne, ożywione, lecz pod koniec wesołość się wzmagała, strzelały dowcipy, przyzwoite żarty pobudzały całe towarzystwo do ogólnego śmiechu. Takie było urządzenie dawnych pańskich domów.

Dom szlachecki pod Gnieznem.

Powabna dziewica, ten najpiękniejszy utwór w naturze, wyradza u jednych uwielbienie, u drugich wrzącą miłość, a sądzę, że u moich czytelniczek wzbudzi zainteresowanie się lub ciekawość. Czas więc nam bliżej z nią się zapoznać. Elżbieta Orzelska była córką p. Mamerta starosty wendeńskiego, donacyą takową wyjednał mu książę Konstanty Ostrogski het. w. k., z którym równie jak p. Wydżga walczył pod Orszą. Starostwo było liche, mało przynosiło materyalnych korzyści, lecz w hierarchii szlacheckiej darzyło p. Mamerta szumnym tytułem, dostojeństwem tem milszem dla niego, iż niepodkopywało równości szlacheckiej, a otrzymane zasługą rycerską, skłaniało współbraci do poszanowania i posługiwało do wpływów w Województwie. Nie chciał p. Orzelski opuszczać swą rodzinną wioskę, między Gnieznem a Zniczem leżącą; na ojców ziemi było mu milej gospodarzyć, przylgnął sercem do każdego budynku. Tradycya, praca, pomyślność i nieszczęścia, tak były spolone z tem ustroniem, że oderwać się od niego nie miał siły. Starostwo więc wydzierżawiał, a sam ciągle mieszkał w Ostojowie, którą Orzelscy przed wiekami osiedlili i od swego herbu Ostoja, ją przezwali. Posiadał wielką konsyderacyą u szlachty i panów, podwoje stały przed nim otworem, bo oprócz osobistej zacności, koligacyą połączony był z najświetniejszemi rodami. Dość powiedzieć, że żona jego była Herburtówna, krewna Górków, którzy jako najmożniejsi z polskich panów, familijnemi związkami byli spokrewnieni z najpotężniejszemi imionami Rzeczypospolitej. Lecz bynajmniej ta koligacya nie podnosiła w dumę p. starosty, czuł się dawnym szlachcicem, a więc krwią zupełnie równy starszym braciom. Herbowa szlachta w jego katechizmie politycznym, była wybraną na najprzedniejszą cząstkę narodu, której Bóg powierzył władzę nad mieszczaństwem i ludem. Nie był osobiście próżnym, lecz miał spotęgowaną dumę kastową. Zasady takowe podzielał z Wydżgą, swoim towarzyszem broni, ztąd najściślejsza przyjaźń ich łączyła. Żona p. Mamerta z Herburtów Orzelska, odebrawszy od rodziców najstaranniejsze wychowanie, umiejąca wybornie po łacinie i po włosku, miała prawo z krwi i wykształcenia do najpierwszego towarzystwa w kraju; lecz liczne było jej rodzeństwo, oprócz kilku braci, miała siedm sióstr, które wszystkie powychodziły za dostojnych panów Rzeczypospolitej, ztąd parantela była bardzo liczna i mówiono wówczas w Polsce:

Ten się nie może szczycić aliansami,
Kto spokrewniony nie jest z Herburtami.

Panna Teofila była najstarszą i niedość urodziwą, już zamyślała zostać mniszką, gdy nadjechał pan Orzelski z rekomendacyjnemi listami od księcia Konstantego Ostrogskiego. Młody, przystojny, śmiały i wesoły, podobał się rodzicom, ujął serce panny i po niedługim czasie, węzłem małżeńskim połączeni zostali. Pożycie ich było najprzykładniejsze, choć pan Mamert był głową domu, lecz wyższość umysłowa żony, zdołała rycerza z pod Orszy wziąć w niewolę; jednak te więzy były tak lekkie, że nawet pan Mamert nie czuł, że je nosił i miał się zawsze za pana u siebie. We trzy lata radość wielka napełniła Ostojów. Gdy już nikła nadzieja potomstwa, Bóg państwa starostwa obdarzył córką. Choć pan Mamert w skrytości ducha prosił Boga o syna, jednak prędko się zgodził z wolą Opatrzności i cieszył się myślą, iż ta dziecina, chociaż po kądzieli, będzie mu pociechą w starości. Matka pani Orzelskiej stara pani Herburtowa i pan Stanisław Kmita wojewoda bełzki, byli rodzicami chrzestnemi, a sam arcybiskup gnieźnieński Krzycki, przyjął nowo narodzoną na łono wyznawców katolickiego kościoła i nadał jej imię Elżbieta. Gdy dziecię wzrastało, p. starosta z macierzyńską pieczołowitością pielęgnował Elżusię, dbając najbardziej o jej zdrowie. Pani zaś starościna, z ojcowską gorliwością rozwijała jej umysł i serce. Sprowadzono nauczycieli z Gniezna, nie żałowano kosztów, a że wrodzone zdolności były zadziwiające, w czternastym roku panna Elżbieta mogła czytać Wirgiliusza, Horacego i Cycerona; włoskim językiem, który wówczas był upowszechnionym doskonale władała. Z wiekiem przybywało jej coraz więcej wdzięku, kochali ją wszyscy, bo była ujmująca. Zdało się, że szczęście na zawsze zamieszkało w domu państwa Orzelskich, dostatek był nie magnacki, ale szlachecki, konsyderacya coraz rosła, pan Mamert posłował już raz na sejmie, szlachta go na rękach nosiła, a piękna córka, jak gwiazda nadziei, szczęśliwszą jeszcze przyszłość obiecywała. Miłość wspólna opromieniała każdą czynność, osładzała pracę, darzyła wszystkich spokojem i rozpędzała małe troski, bez których życie obejść się nie może. W tej atmosferze szczęścia kilkanaście lat, jakby jeden rok upłynęło państwu Orzelskim. Lecz niemasz trwałego szczęścia. Pani starościna niebezpiecznie zachorowała, dwa miesiące trwała choroba, mąż i córka dniem i nocą przesiadywali przy jej łożu; sprowadzono nawet Jana Antonina najsławniejszego wówczas lekarza, lecz wszystkie usiłowania były nadaremne, życia niemożna było zatrzymać. Gdy się czuła blizką śmierci, przyjąwszy Sakramenta, kazała męża przywołać do siebie i drżącym, osłabionym głosem rzekła:

— Wkrótce zostaniesz wdowcem, a Elżusia sierotą; żal mi was obojga opuścić, lecz równie jak ja zgodzić się powinniście z Bożą wolą. Umrę spokojnie, gdy mi święcie przyrzekniesz, iż moją prośbę spełnisz.

Starosta złożywszy pocałunek na czole żony, ze łzami w oczach odrzekł:

— Przysięgam ci, że wolę twoją co do joty spełnię.

— Słuchaj więc — ścicha mówiła starościna.— Gdy umrę, Elżusia przy tobie zostać nie może. Żadna ochmistrzyni, ani nawet ojciec nie zdoła matkę zastąpić. Wychowałam ją tak, iż potrafi pozyskać serce i w mojej rodzinie znajdzie opiekę i macierzyńską pieczołowitość. Tyś zacny i poczciwy, ale nie wydołasz obowiązkom matki. Kobieta potrzebuje kobiecej opieki, bez niej, jak kwiat bez słońca obejść się nie może.

Łzy się zakręciły w oczach pana Mamerta, gdyż własnej śmierci prędzej się spodziewał, jak owego wymagania żony, z rozdzierającą boleścią zawołał:

— Chcesz mnie podwójnie osierocić.

— Dla dobra naszej córki, wymagam od ciebie tego poświęcenia. Wiem że ją kochasz, a miłość potrzebuje ofiary. Znam jednę tylko niewiastę, która mnie zastąpić może. Sama nie będąc matką, przytuli me dziecię jak swoje. Co Bóg jej odmówił, ja ją tem obdarzę.

Wyjąwszy z pod poduszki list, wręczywszy go mężowi rzekła.

— Po moim pogrzebie z Elżusią pojedziesz do Wiśnicza i to pismo wręczysz pani Kmitowej wojewodzinie krakowskiej a mojej dostojnej krewnej. Wiem, że będąc sama aniołem, mego aniołka przytuli, jak własną córkę. Jej pobożność i cnoty potrafią z dziecka uczynić zacną, polską niewiastę. Umieram spokojnie, gdyż mi poprzysiągłeś spełnić tę ostatnią moją wolę.

Starosta wzruszony, z sercem przepełnionym żalem nie mógł mówić, tylko wyjęknął jedno słowo: „przysięgam ci", pochwycił rękę żony i cisnął do ust swoich.

Umierająca zawołała:

— Księdza i córkę.

Gdy weszli, bez słów żadnych ją pobłogosławiła, łza ostatniego pożegnania spłynęła i zastygła na jej śmiertelnej twarzy. Wszyscy przy łożu uklękli, a ksiądz odmówił modlitwy konających.

Człowiek patrząc na śmierć codziennie, nie może nigdy nawyknąć do jej widoku. Niepojętaby była nawet dla żyjących, gdyby słowo Boże nas nieupewniło, że śmierć jest rozpoczęciem drugiego żywota. Życie doczesne z zagrobowem łączyć się musi, inaczej niewytłomaczone byłoby nasze istnienie, bo istota żyjąca wiecznej śmierci i nicestwa pojąć nie może. Co raz żyje, żyć musi nieskończenie. Mimo to, chwila śmierci, choćby oczekiwana, zawsze jakby cios niespodziewany spada na nas, bo śmierć choć jest koniecznością, jednak jest sprzeczną z naturą naszą.

Nie będziemy opisywać boleści, jaką śmierć starościny zakrwawiła serce męża i córki. Sąsiedzi, nawet całe województwo pospieszyło na oddanie ostatniej posługi zmarłej. Kilka dni upłynęło we łzach. Gdy rozpaczliwa żałość przeszła w smutek, panu staroście dopiero przyszła na myśl obietnica dana umierającej żonie. Co w obłędzie rozpaczy poprzysiągł, teraz wydawało mu się ofiarą nad jego siły. Rozłączyć się z ukochanem jedynem dzieckiem, osamotnić się na starość, nie ogrzewać się codziennie ciepłem jej uczucia, było dla niego zrzeczeniem się wszystkich przyjemności życia. Szukał środków wyłamania się z danej obietnicy, ale nieubłagane sumienie przypominało mu ciągle, wyrzeczoną przysięgę. Szanował wielce panią wojewodzinę, miał w Wiśniczu starego przyjaciela i towarzysza broni pana Wydżgę, więc na troskliwej opiece córce-by nie brakło. Walcząc z sobą udał się na grób żony, pomodlił się za jej duszę i pokrzepiony na duchu, zalany łzami rzekł:

— Spełnię twoją przedśmiertną wolę, wiernym ci byłem za życia, pozostanę wiernym za grobem. Ty z niebios czuwaj nad nią.

Przyszedłszy do siebie, kazał zaprządz kolasę na łańcuchach zawieszoną, brykę ładować sprzętem i wiktuałami i nic córce nie mówiąc, w parę godzin już byli w drodze do Wiśnicza.

Pani wojewodzina Kmitowa, była z domu Górków, starożytnej rodziny, zasłużonej krajowi, opływającej w bogactwa i przodkującej wykształceniem i obywatelskiemi cnotami. Bóg ją uposażył wszelkiemi darami, kochana i kochająca, wszystkie warunki posiadała do szczęścia, jednak szczęśliwą nie była. Przy największej pomyślności, zawsze nam czegoś braknie i pani wojewodzinie brakło dwóch warunków do szczęścia: zdrowia i potomstwa. Moralne więc i fizyczne cierpienia ugniatały ją ciągle, nie jątrzyło to jednak jej serca, cierpiąc sama, odczuwała każdą obcą niedolę i gdy sobie zaradzić nie mogła, biegła z pomocą i ulżeniem każdej boleści. Aby zapełnić serce macierzyńską miłością, żądała wziąć do siebie jakąś biedną sierotę, ogarnąć ją pieczołowitością i uczuciem, które jej brakło, lecz wybór nie był łatwy; szukała aby serce jej zadrżało do jakiej istotki, aby odrazu pokochać ją mogła. W tym stanie jej duszy, nadjechał p. starosta Orzelski z swoją córką Elżusią.

Po przywitaniu i uściskach p. Mamert ze łzami w oczach, opowiadał o śmierci swej żony spokrewnionej z panią wojewodziną. Państwo Kmitowie słuchali z rozrzewnieniem i łagodzili boleść męża i córki. Pan starosta jednak nie oddawał jeszcze wojewodzinie listu żony, chciał się wprzód rozpatrzeć w zamku i pomówić ze starym przyjacielem panem Wydżgą. Pani wojewodzina odrazu była oczarowaną wdziękiem i wykształconym umysłem panny Orzelskiej, serce jej drgnęło uczuciem nieznanem i myśl jej błysnęła, czy ojciec ją nie chciałby jej powierzyć. Panna Elżbieta pokochała wojewodzinę i swe uczucie okazywała grzecznościami, nawet pieszczotami, które pani Kmitowa przyjmowała z widocznem zadowoleniem. Po dwóch dniach pobytu, pani wojewodzina kazała do siebie przywołać p. Orzelskiego. Siedziała w krześle wzruszona i poprosiła, aby starosta usiadł przy niej.

— Mój starosto — rzekła — mam do ciebie prośbę, którą nie wiem jak wysłowić.

— Jestem na rozkazy pani wojewodziny, miło mi każdą usługą przyczynić się do spełnienia jej woli — odrzekł p. Mamert.

— Nie idzie tu o usługę p. starosto, ale o łaskę, której chcę żądać od ciebie.

— Mościa wojewodzino, czyż ja mogę jaką łaskę jej uczynić: służyć jej jest moim obowiązkiem.

— W tym wypadku, p. starosto, ty jesteś panem, a ja sługą; ty stanowisz, a ja powinnam być posłuszną twej woli.

— Zawstydzasz mnie, wojewodzino, wywyższając mnie do splendoru dwóch rodzin najświetniejszych w kraju. Tak wielkiej pani, tak dostojnej damie, tylko respekt ode mnie się należy i pod jej stopki zawsze z moją służbą się ścielę.

— A gdybym, starosto, zażądała wydrzeć ci serce.

— Życie moje, wojewodzino, w twej obronie gotowym poświęcić.

— Niewątpliwie, starosto, każdy Polak i rycerz życie poświęci dla dobrej sprawy, ale serce to skarb droższy nad życie.

— Wybacz, wojewodzino, lecz twych słów nie rozumiem.

— Starosto, możesz mnie uszczęśliwić, lecz darząc mnie szczęściem, sam będziesz musiał boleć. Starosto! jam biedna, bez potomstwa, chcę zapełnić próżnię macierzyńskiego serca. Oddaj mi twoją córkę, będę jej matką.

Starosta rzucił się do kolan wojewodziny i zawołał:

— Czy Bóg cię natchnął, wojewodzino, czy nieboszka moja żona przemówiła do twego serca. O co mnie błagasz, było to ostatnią wolą mej żony.

I dobywszy list z zanazdrza, wręczając wojewodzinie, rzekł:

— W tem piśmie ona cię błaga, o co mnie prosisz. W tym cudzie, widzę wolę Boga; lżej mi na sercu: ofiara teraz nie jest dla mnie tak ciężką.

Wojewodzina list przeczytawszy, zalała się łzami i rzekła:

— Dziękuję Bogu, że uczynił mnie matką; teraz żyć pragnę, bo mam się komu poświęcić. Starosto, twoja córka nie będzie sierotą, nasze serca jej szczęściem żyć będą.

Staroście gęste łzy spłynęły i rzekł wzruszony:

— Tobie i Bogu moją jedyną córkę powierzam.

Zdało się staroście iż głos umierającej żony do serca wojewodziny zalecił i jedną myślą połączył ich chęci. Widział w tym cud Boży i uspokojony, tydzień cały w wiśnickim zamku przesiedział. Z panem Kmitą rozprawiał o polityce, z wojewodziną o bieżących wypadkach, z panem Wydżgą przypominali sobie różne zdarzenia wojennych wypraw a mianowicie o bitwie pod Orszą, a rotmistrz zwykle kończył rozmowę znanym nam frazesem: „gdyby książę Ostrogski usłuchał mojej rady, dawno Smoleńsk byłby zdobyty"!

Gdy miał wyjeżdżać uprosił p. Wydżgę, aby co dwa tygodnie obdarzał go swem pismem, donosząc sumiennie o córce. Przed odjazdem serce mu się jednak ścisnęło. Przy obiedzie dla zaduszenia gryzącego robaka i dla rezonu, wypił dwie butelki małmazyi i tak sztucznie podbudziwszy moc ducha, dość rozweselony pożegnał wojewodzinę, rękę wojewody serdecznie ucałował, pobłogosławił zapłakaną córkę i jakby uciekając od mogącego nastąpić rozczulenia, szybkim krokiem zbiegł ze schodów, rzucił się w kolasę i pijany więcej dławionem wzruszeniem jak trunkiem, opuścił zamek Wiśnicki.

Wskutek takowych wypadków, panna Elżbieta Orzelska umieszczoną została w Wiśniczu, a którą na chwilę widzieliśmy w bogatych komnatach państwa Kmitów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z PIOSNEK WIOSENNYCH.

Dziwnym wdziękiem, konwalio, twa postać nas wabi,
Przyszłego odrodzenia dając nam zapowiedź:
Z twem przyjściem, długą zimą znękani i słabi,
Czekamy wiosny tchnienia, co nas ma uzdrowić.

Lecz czy ziścisz sny nasze i nadzieję całą?
Zaledwie słońce błysło, już chmur stado widzę:
Zaledwie kwiat zakwitnął więdnie na łodydze,
O! wiele obiecujesz, a dajesz zbyt mało!

Mnie też więcej nie złudzi twoja obietnica!
Rośnij sobie spokojnie pod zieloną jodłą,
I tam gdzie szumią drzewa, gdzie szemrze krynica,
Niechaj się leśna cisza twym wdziękiem zachwyca,
Zwiastujesz powrót wiosny; ah! to piękno godło,
Iluż ludzi zawiedzie! ilu już zawiodło!

Emilia.

DYONIZA.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH.

PRZEZ

ALEKSANDRA DUMASA (syna)

PRZEKŁAD

Bronisławy K.

OSOBY:

Hrabia Andrzej de Bardannes.
Marta, jego siostra.
Brissot.
Pani Brissot, jego żona.
Dyoniza, ich córka.
Fernand de Thauzette.
Pani de Thauzette, matka Fernanda.
Thouwenin.
Pontferrand.
Pani Pontferrand, jego żona.
Klara, ich córka.
Służący.

(Rzecz dzieje się na wsi, w przeciągu kilku godzin, między śniadaniem i obiadem.)

AKT I.

(Scena przedstawia salon elegancko umeblowany, z którego drzwi w głębi prowadzą na ogród, boczne zaś do dalszych pokoi.)

SCENA I.

Dyoniza siedzi przy fortepianie i śpiewa, **Klara** stoi za nią i daje znaki innym osobom, aby weszły cicho, posłuchać śpiewu Dyonizy. Kolejno wchodzą też: hrabia **Andrzej**, **Thouwenin**, państwo **de Pontferrand** i pani **Brissot**; później **Marta**, **Ferdynand** i pan **Brissot**. Gdy Dyoniza odśpiewała ostatnią zwrotkę, Klara klaszcze w ręce.

Klara. Brawo! brawo! jeszcze, jeszcze!

Dyoniza (wstając od fortepianu). Jakto?! Pani mnie podsłuchiwała? A ja sądziłam, że jestem samą. To zdrada.

(Inni przyklaskują również, z wyjątkiem pani Brissot.)

Thouwenin. Śpiewaj pani, dalej, tak zupełnie, jakby nas nie było.

Pani de Pontferrand (cicho do swego męża). O! wiedziała ona dobrze, że my tu jesteśmy.

Pontferrand. I z czegóż to wnosisz, moja duszko?

Klara (podchodząc do Dyonizy). Co to jest to, co pani śpiewała?

Dyoniza. Jest-to arya z „Mireille".

Klara. A cóż to jest Mireille?

Dyoniza. Czy pani nigdy nie słyszała Mireille, panno Klaro?

Klara. A gdzież miałam słyszéć?

Dyoniza. W teatrze opery komicznej.

Klara. Ja nie bywam nigdy w teatrze.

Dyoniza. Nawet w teatrze opery komicznej?

Klara. Nawet w operze komicznej. Mówiono mi, że gdy młoda panienka bywa w tym teatrze, to jej to za złe mają.

Klara (do Andrzeja). Panie hrabio, czy panna Brissot śpiewa tak codziennie?

Andrzej. Tak, pani.

Klara. O! jaki pan szczęśliwy, że możesz ją słuchać tak często.

Andrzej. Bezwątpienia.

Klara (do Dyonizy). Niech pani będzie łaskawą pożyczy mi tej partytury.

(Siada do fortepianu i zaczyna wybierać nuty.)

Dyoniza. Nie wiem czy matka twoja, panno Klaro, pozwoli zabrać ci te nuty?

Klara. O! jestem pewną, że nie pozwoliłaby, ale ja wezmę je tak tajemniczo, że się tego ani domyśli.

Dyoniza. Ależ ja na to nie mogę pozwolić żadnym sposobem.

Klara. To też wezmę w chwili, gdy pani nie będzie patrzéć na fortepian. Mogę być nieposłuszną, bo to przecież nie matka moja, a tylko macocha. Mama gdyby żyła, pozwoliłaby mi z pewnością chodzić do teatru; biedna mama, tak mnie kochała. Ale druga żona mojego ojca jest dla mnie bardzo surowa; mówi, że nie chce brać na siebie odpowiedzialności. Ja nie rozumiem, doprawdy, co to znaczy? (przegląda nuty.) Co tam pani ma jeszcze ładnego? Ale gdzież to jest panna Marta?

Dyoniza. Przyjdzie niebawem, przechadzała się przed chwilą w parku.

Andrzej (do pani Brissot). Głos pani Dyonizy z każdym dniem staje się piękniejszym.

Pani Brissot. Zdaje się, że nabiera coraz większej wprawy.

Pani de Pontferrand (do pani Brissot). Czy ta młoda osoba jest pani córką?

Pani Brissot. Tak, pani.

Pani de Pontferrand. Powinszować, powinszować takiego talentu, słyszałam już o nim, zanim panie poznałam. Czy to córka pani śpiewała w kościele w czasie ślubu syna dzierżawcy Bertranda?

Pani Brissot. Tak, pani.

Pani de Pontferrand. I podobno sama towarzyszyła sobie na organach, darowanych przez pana de Bardannes.

Andrzej. Tak, pani.

Pani Brissot. Ale trzeba było się starać o pozwolenie biskupa.

Pani de Pontferrand. Jego ekscelencya nie chciał się podobno zgodzić, gdyż nie lubi, gdy kobiety śpiewają w kościele i ma słuszność. Śpiew taki nie wznosi duszy do Boga, ale przeciwnie, sprowadza roztargnienie. Podług mnie śpiew organisty, jakkolwiek nieco fałszywy, aż nadto wystarcza przy nabożeństwie w kościele, ponieważ nikt tam nie idzie słuchać śpiewu, tylko modlić się.

Thouwenin. A tak, do kościoła idzie się po to, aby się nauczyć miłości bliźniego i pobłażania na ludzkie błędy.

Klara (grając jakiś wyjątek z Sylwii). O! jakaż to ładna muzyka!

(Pontferrand na wpół drzemiący pośpiewuje słyszaną melodyę.)

Pani de Pontferrand (do pani Brissot). Córka pani musiała wiele pracować nad wydoskonaleniem swego głosu, kiedy tak ślicznie śpiewa.

Pani Brissot. O! pracowała bardzo, a przytem miała doskonałego nauczyciela. Był to profesor z konserwatoryum i stary nasz przyjaciel. Zachwycał się zawsze głosem mojej córki i nawet zachęcał ją, aby wstąpiła do teatru, twierdząc, że może dostać ze sto tysięcy rocznej pensyi.

Pani de Pontferrand. To wcale nie zbyt wielkie wynagrodzenie za odwagę wstąpienia na deski teatralne.

Thouwenin. Na scenie stąpa się często po dywanach, łaskawa pani.

Pani de Pontferrand. Baletniczki nie stąpają po dywanach.

Pontferrand. Ależ zastanów się moja duszko, że panna Brissot nie miała zamiaru być baletniczką.

Pani de Pontferrand. Jak tylko kto występuje za pieniądze przed publicznością, to czy tańczy czy śpiewa, to wszystko jedno.

Thouwenin (na stronie). A to miła kobieta. (Głośno.) Przepraszam panią, jest pewna różnica: głuchy woli taniec a niewidomy śpiew przekłada.

Pani de Pontferrand (do Andrzeja). Co to za jeden ten jegomość?

Andrzej. Jest to bogaty fabrykant, przytem znakomity agronom, a nadewszystko człowiek mający złote serce.

Pani de Pontferrand. Nazwisko jego?

Andrzej. Thouwenin.

Pani de Pontferrand. Thouwenin! Thouwenin!

Pontferrand. Napróżno szukasz w myśli, moja duszko, nazwiska tego, nie znajdziesz go pomiędzy arystokracyą.

Pani de Pontferrand. A więc to świeża szlachta. (Do Andrzeja.) Panna Brissot jest zatem nauczycielką pańskiej siostry?

Andrzej. Nie, pani, jest ona raczej jej towarzyszką i przyjaciółką.

Pani de Pontferrand. Przyjaciółką!... przyjaciółką płatną ma się rozumiéć, bo sądzę, że pan hrabia sowicie wynagradza jej usługi.

Andrzej. Panna Brissot nie pobiera ode mnie żadnej pensyi. Jest ona córką mojego rządcy, najuczciwszego pod słońcem człowieka. Pan Brissot służył dawniej w wojsku i posiada kilka orderów.

Pani de Pontferrand. Czy od teraźniejszego rządu?

Andrzej. Nie, od poprzedniego.

Pani de Pontferrand. Takie ordery to niewiele warte.

Andrzej. Różne są pojęcia, łaskawa pani. Brissot był dzielnym żołnierzem, odznaczył się w wojnie włoskiej i dostał krzyż. Być może, że to rzecz, jak pani powiada nie wiele warta, ale są ludzie którzy to cenią.

Pani de Pontferrand. I dlaczego jeśli był tak walecznym, porzucił zawód wojskowy?

Andrzej. Dlatego, że się zakochał w ubogiej panience a że sam nie posiadał majątku, musiał

chcąc się żenić, wystąpić z wojska i korzystniejszego poszukać zajęcia.

Pani de Pontferrand. Więc to było małżeństwo z miłości?

Andrzej. Tak, pani.

Pani de Pontferrant. Jakie to zabawne, pomyśléć patrząc na starą i brzydką kobietę, że ktoś mógł się w niej do szaleństwa kochać. To śmieszne, doprawdy.

Andrzej. Dla mnie nie jest to śmieszne bynajmniej, gdy pomyślę, że ta kobieta była niegdyś ładną i że dziś jest dobrą. Ale to wydaje mi się dziwnem, gdy ktoś pokocha kobietę brzydką i nie dobrą w dodatku.

Pani de Pontferrand. Są różne stopnie dobroci, a do niektórych nie wszystkie kobiety są zdolne. Ale wracając do pańskiego rządcy, widzę z opowiadania pana hrabiego, że ludzi tych dotknęło wiele nieszczęść.

Andrzej. Które znosili odważnie.

Pani de Pontferrand. I jakież radzili sobie w nieszczęśliwem położeniu?

Andrzej. Żyli z pracy rąk.

Pani de Pontferrand. I córka także?

Andrzej. Córka dawała lekcye języka francuzkiego, historyi i muzyki. Panna Brissot jest bowiem bardzo wykształconą, posiada patent na wyższą nauczycielkę.

Pani de Pontferrand. Tak, posiada wykształcenie światowe.

Andrzej. Wtedy to ktoś z moich znajomych przedstawił mi starego Brissot, który zarabiał na życie przepisywaniem handlowych papierów. Gdy zacna ta rodzina zamieszkała pod moim dachem, mogłem odebrać siostrę z klasztoru, czego dotąd nie mogłem uczynić, prowadząc wesoły kawalerski żywot w Paryżu i nie mając krewnej, któraby się zaopiekowała Martą.

Pani de Pontferrand. Zatem powierzyłeś pan zarząd dóbr swoich ojcu Brissot, ster domowego gospodarstwa matce Brissot, a siostrę swoją córce Brissot.

Andrzej. Tak, pani.

Pani de Pontferrand. To już jest szczyt zaufania z pańskiej strony. Ale czy sądzisz, że osoba która miała wstąpić do teatru, jest odpowiednią towarzyszką dla panny dobrze urodzonej i posiadającej niepospolite nazwisko?

Andrzej. I ja, pani, noszę to samo nazwisko.

Pani de Pontferrand. O! pan jesteś postępowym, nie potępiasz nocy 4-go sierpnia, a ta noc dużo nas kosztowała bezużytecznych poświęceń. Ale zobaczysz pan dokąd te idee cię zaprowadzą. (Do Pontferranda). O czem myślisz, Filibercie?

Pontferrand (na wpół drzemiący). O tobie, moja duszko. Czyż ja mogę myśléć o czem innem jak nie o tobie?

Thouwenin (do Andrzeja). Paradny jest ten Pontferrand. Zgadza się widocznie ze swoim losem zawojowanego męża.

Andrzej. O! nie jest on tak dobroduszny, jak pan sądzisz, to przebiegła bardzo sztuczka.

Thouwenin. Ale dlaczego i ty ulegasz tak jego żonie?

Andrzej. Obowiązki sąsiedzkie zmuszają mnie do tego, oraz bojaźń plotek z jej strony snutych z niezmierną zręcznością.

Pani de Pontferrand (do Marty, która weszła w tej chwili). Nareszcie ukazujesz nam się, drogie dziecię!

Marta. Wybacz mi pani, że się spóźniłam, ale chodziłam odwiedzić żonę gajowego, której synek jest trochę cierpiący.

Pani de Pontferrand (z trwogą). Ale przecież nie na zaraźliwą jaką chorobę?

Marta. Nie, bynajmniej: uspokój się pani.

Pani de Pontferrand. Lękałam się czy nie jesteś chorą, moje dziecko, gdyż nie widziałam cię dziś rano na mszy i dlatego postanowiliśmy odwiedzić was teraz, pomimo, że jesteśmy proszeni na obiad.

Marta. Ja, pani droga, wysłuchałam już tyle mszy będąc w klasztorze, że mogę teraz pofolgować sobie trochę. I tak wyprzedziłam z pewnością państwa wszystkich, gdyż chodzicie na mszę tylko w niedzielę, ja zaś bywałam codzień.

Pani do Pontferrand. Czy to panna Brissot wpaja w ciebie te zasady?

Marta. Nie, pani, gdyż panna Brissot była dziś rano w kościele.

Pontferrand. A tak, siedziała obok pani de Thauzette.

Pani de Pontferrand. Tej, która bawi u państwa?

Marta. Tak, pani de Thauzette przyjechała do nas na dni kilka.

Pontferrand. Piękna Zezetta, jakeśmy ją nazywali jeszcze przed dziesięciu laty.

Pani de Pontferrand. Znasz ją tak dawno, mój mężu?

Pontferrand. Znam ją, gdyż znał ją cały Paryż a ja podówczas mieszkałem w Paryżu. (Wzdycha.)

Pani de Pontferrand. Wszakże i teraz dosyć często bywasz w Paryżu.

Pontferrand. Tak, jeżdżę co dwa miesiące na jeden dzień, niewarto nawet mówić o tem.

Pani de Pontferrand. Czy pani de Thouzette jest wdową?

Andrzej. Tak, pani.

Pani de Pontferrand. Mąż jej, jeśli się nie mylę, był dyrektorem jakiejś instytucyi finansowej i umierając zostawił interesa w bardzo złym stanie.

Pontferrand. Po jego śmierci załagodzono całą sprawę.

Pani de Pontferrand. Niemniej to niemiła historya. Czy ta pani ma syna?

Andrzej. Tak, pani, byliśmy nawet razem w szkołach.

Pani de Pontferrand. Ale on jest młodszy od pana.

Andrzej. O sześć albo siedm lat.

Pani de Pontferrand. To modny paniczyk bez żadnej moralnej wartości... Matka chciałaby go ożenić, ale niełatwo jej to przyjdzie. Czy ten młodzieniec bawi także u pana?

Marta. Tak, pani, pan de Thauzette jest tutaj. Właśnie teraz mamy jechać razem konno na spacer, pani de Thauzette daje mi lekcye konnej jazdy.

Pani de Pontferrand. O! jest ona w tem równie biegłą, jak panna Brissot w ortografii. Ale, moje dziecię, oprowadź-że mnie po twej nowej siedzibie, ta część pałacu jest mi całkiem nieznaną.

(Wychodzą.)

Thouwenin (do Pontferranda). Pańska żona to rozumna kobieta.

Pontferrand. Tak, kochany panie, ale przytem zła jak licho. Powiedz mi pan, panie Thouwenin, bo obrabiasz rozmaite interesa, czy ja nie mógłbym się dostać do jakiej rady administracyjnej? Nazwisko moje przemawia za mną i byłaby to doskonała okazya połączenia demokracyi z arystokracyą. A przytem dałoby mi to sposobność odwiedzenia czasami Paryża.

Thouwenin. A w Paryżu kogoś jeszcze.

Pontferrand. Kto panu o tem mówił?

Thouwenin. Wszyscy tu w okolicy o tem mówią.

Pontferrand. Cóż to za plotkarze!

Thouwenin. Widziano pana również dążącego do bióra telegraficznego, zkąd pan osobiście wysyłasz depesze.

Pontferrand. I w tem nie ma nic złego, bo piszę do przyjaciela.

Thouwenin. O! nie adresujesz pan wprost do tej osóbki, jesteś na to zbyt ostrożnym, ale nazajutrz po wysłaniu telegramu, jedziesz zazwyczaj sam do Paryża i bawisz tam całe dwa dni.

Pontferrand. Tak jest w istocie.

Thouwenin. Przyrzekam panu posadę w radzie administracyjnej, ale pod warunkiem, że powiesz mi szczerze, co cię skłoniło do powtórnych związków małżeńskich? Czy ożeniłeś się w celu umartwienia, za popełnione przedtem różne awanturki.

Pontferrand. Byłem niepocieszony po śmierci mojej pierwszej żony, która, mówiąc nawiasem, nie była w niczem podobną do drugiej... był to anioł, anioł, mówię panu... Wiadomo zaś, że im kto bardziej jest niepocieszony...

Thouwenin. Tem bardziej pragnie, aby go pocieszano. Pokazuje się jednak, że zrobiłeś zły wybór.

Pontferrand. Byłem najmocniej przekonany, że nigdy nie pocieszę się po stracie jakiej doznałem. Lecz ludzie wyzyskali moją boleść i zaczęli wmawiać we mnie, że powinienem się ożenić, ze względu na Klarę, z jakąś rozsądną kobietą i podsunęli mi pannę de Laville Serteux. Niechcąc powtórnie żenić się z miłości, nie zważałem na brak wdzięków mojej przyszłej i zgodziłem się na ten związek.

Thouwenin. Trudno abyś pan lepszy uczynił wybór.

Pontferrand. A niech Bóg zachowa każdego od takiego wyboru (Wzdycha). Widzisz pan, ja bo jestem bardzo młody...

Thouwenin. Sercem?

Pontferrand. Sercem i usposobieniem...

Thouwenin. A więc?

Pontferrand. A więc byłem bardzo dobrym mężem dla pierwszej mojej żony. O! ale ona nie umiała tego ocenić; była zazdrosną, wymagającą, przyjmowała tylko stare kobiety, a obmawiała bez litości wszystkie. Słowem, tak mi zatruła życie, że przestałem żałować jej straty i nie mogę odżałować, że pojąłem drugą. Pocieszam się też jak mogę w mojem utrapieniu.

Thouwenin. I w tym celu jeździsz pan do Paryża?

Pontferrand. Naturalnie.

Thouwenin. Najgorzej na tem wszystkiem wychodzi panna Klara.

(Klara gra lekko na fortepianie, przy niej siedzi Dyoniza.)

Pontferrand. Nudzi się biedaczka okropnie. Ja nieraz pośmieję się z nią i pożartuję, ale w jej wieku towarzystwo ojca nie wystarcza. Chciałbym ją wydać za mąż. To też gdy tylko hrabia de Bardannes przywiózł tu swoją siostrę, skłoniłem moją żonę do zawiązania ściślejszych stosunków. Hrabia byłby dobrym zięciem, nie wiem tylko czy jest wolny.

Thouwenin. Zdaje się.

Pontferrand. Bo to coś szepczą... że ta młoda nauczycielka... hm... hm.

Thouwenin. Ci co to mówią, niech się strzegą, aby te plotki nie doszły do uszu ojca, bo byłoby z nim wówczas trochę kłopotu.

Pontferrand. Pan sądzisz, że to plotki? Powiedzmy jednak sobie pocichu, że byłoby to nie pierwszy i nie ostatni raz... żeby nauczycielka... A jaka ona ładna. Dla niej wyrzekłbym się chętnie wyjazdów do Paryża.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pod naszej strzechy.

Warszawa przystraja się na uroczyste przyjęcie wiosny. Oczyszczono ogród Saski, otworzono ogród Botaniczny, umieciono i opylono mniejsze ogródki, a panowie cukiernicy urządzają wystawy przed swemi zakładami, mającemi niby wśród kurzu, zgiełku i wrzawy ulicznej, posługiwać do używania świeżego powietrza. Zakrawa to trochę na żarty, ale jeżeli właściciele zakładów restauracyjno-piwnych, namalowaniem na ścianach widoków pól i lasów, umieją wmówić w swych gości, że oparkanione kawałki podwórza, są prześlicznemi ogródkami pełnemi woni kwiecia polnego i aromatu lasu, to dlaczegóżby siedzącym pod werendą cukiernicząc nie miało się zdawać, że przez imaginacyą pojechali na koronacyą i używają przechadzki w parku, gdy burza szaleje i z rumotem łamie wiekowe drzewa, co jeszcze wieki stać miały.

Warszawa więc przystraja się, bieli domy, myje w nich okna z utrapieniem przechodniów, ulice asfaltuje, zakłada markizy, czyści rynny, ulice polewa z umartwieniem stróży, odnawia teatra letnie, zajada już młode ziemniaczki, sprzedawane na funty po kop. 40 i przypatruje się ciekawie parasolikom wygrywającym na pozytewce jakieś melodye, i kapeluszom męzkim filcowym koloru amarantowego, w których przystroju widziano kilku panów, przechadzających się po ulicach Warszawy.

Wybryk ten pozostawiamy bez komentarzy, ale o parasoliki musimy się troszkę rozprawić, nie ze stanowiska mody, ale czystości języka.

Otóż dawniej znaliśmy tylko parasol i parasolik, a od lat dopiero kilku czy kilkunastu, *parasolik* przerobiono na *parasolkę*, niby pod pozorem, że dla dam jedynie posługuje, więc powinna być także rodzaju żeńskiego. Jest-to błąd z którym wszędzie się spotka, w rozmowie, na szyldach, w ogłoszeniach, jakby każdy miał prawo wprowadzać do mowy ojczystej nowości, według swego widzimisię. W języku bowiem naszym, rzeczowniki przerabiane na zdrobniałe nie zmieniają nigdy rodzaju i dlatego mówi się: stół stoliczek, matka mateczka, dziecię dzieciątko, a więc powinno być parasol parasolik a nigdy *parasolka*, która w uszach szanującego czystość ojczystej mowy, brzmi jak zgrzyt po szkle, albo fałszywy ton w harmonijnie ułożonym akordzie.

Wiem, że uwaga ta nie naprawi złego i wstrętna *parasolka* pozostanie może na zawsze w użyciu. Być może także, że wytykający błąd nazwany zostanie marudą, nudziarzem... nic nie mam przeciw temu, nie rozgniewam się nawet, byle zwrócono uwagę, że tu o coś więcej idzie jak o wyraz, który choćby najbardziej błędny, w ostateczności mowy na wskroś nie zgangrenuje.

Do objawów rozpoczętej już wiosny, należy także smutny wynalazek przyrządu zapobiegającego kradzieży zegarków kieszonkowych, które jako w porze ciepłej, na wierzchu niejako ubrania mieszczące się, łatwiej mogą być na uronienie narażone. Stanowi go kauczukowy krążek zakładany na ucho zegarka, który wprawdzie kradzież robi niemożliwą ale i wyjęcie go przez właściciela bardzo utrudza. W każdym jednak razie, to wysilanie umysłu ludzkiego na obronę przeciw złodziejom, owe bezustanne wiadomości o oszustwach i kradzieży, niezmiernie charakteryzują dzisiejsze czasy. Dawniej tak niebywało, nabytek to nowy, przedtem nieznany w rozmiarach, jak się obecnie rozwielmożnił.

Kto zajmuje się polityką, która od lat już wielu: krztusi się, jąka i jakoś wymówić niemoże ostatniego słowa, o co jej właściwie idzie, do czego dąży, to mu przedstawić można nową zabawkę, nazwaną kwestyą afgańską, złożoną z metalowych kółek, których ułożenie w jedną całość wymaga niemałego namysłu. Wprawdzie przy jej pomocy, tajemnicy politycznej nawet zdziebełeczka nie odsłoni, zawsze jednak zajęciem jakie przedstawia, pozwoli zapomnieć o tem co sercu dokucza a co z pamięci żadnym sposobem usunąć się nie da.

Drugą także kwestyą dość zawiłą i zapewne razem z powstaniem skazaną na zatracenie, jest zamiar, jak donosi „Kuryer Poranny", otworzenia przez jedną z pań, szkoły prania w zimnej wodzie bez użycia szkodliwych chemicznych dodatków i nauki prasowania przy pomocy żelazek napełnionych wrzącą wodą. Myśl to dobra i pożyteczna, ale z pewnością jak przepadła szkoła kucharek, a projekt wystawy dzieci po części wyśmiano, tak i szkoła praczek przefrunie bez śladu i utonie w fali zapomnienia. Żeby jednak i swoją cegiełkę dołożyć do wspaniałego gmachu niedoszłych projektów do skutku, czuję się w obowiązku udzielić radę, by zbyt nie rozdzielając różnych umiejętności domowego gospodarstwa, utworzono jedną szkołę, w którejby i kucharstwa i prania i prasowania razem uczono. Wymaga tego wiele powodów a szczególniej wzgląd na mniejszość kosztów utrzymania i na większą pewność ściągnięcia odpowiedniej liczby uczenic.

W tym roku przypada kilka jubileuszowych uroczystości dla pracowników w różnych zawodach zasłużonych.

Pierwsze miejsce w tej liczbie dostojników myśli zajmuje, jak „Gazeta Warszawska" donosi, Franciszek Duchiński, kończący w bieżącym roku lat 50 naukowej swej działalności. Skutkiem tego w wielu kołach kraju i zagranicą powstała myśl uczczenia tego zasłużonego męża. Wiadomo, że najpierwsze instytucye naukowe, jak np. Towarzystwa etnograficzne w Paryżu, powoływały go na swego przewodnika; że uczeni, jak między innymi najznakomitszy historyk Francyi Henryk Martin, nie wahali się wyznawać publicznie, że są jego uczniami; lub tacy mężowie nauki, jak: Viequesnel, Kinkel i wielu innych, teorye jego głosili i za swe przyznawali.

Drugim jubilatem jest Adam Müncheimer, dyrektor opery polskiej w teatrach warszawskich i zasłużony kompozytor, kończący 1 Maja b. r. lat 35 swej służby. Jako wychodzącemu ze służby, dyrekcya pozwoliła urządzić w salach redutowych koncert na dochód własny, ze współudziałem artystów i orkiestry.

Wreszcie trzecim jubilatem jest Jan Zacharyasiewicz, kończący w tym miesiącu 30 lat swej pracy literackiej. Pierwszą pod tytułem „Uczony" ogłosił w r. 1855 u Kallenbacha we Lwowie. Dobrze przyjęty ten utwór zachęcił go do dalszej pracy w powieściowym kierunku, w którym odznacza się dział powieści na tle politycznem i społecznem napisany a między niemi pierwsze zajmuje miejsce św. Jur. We wszystkich pracach Zacharyasiewicza przebija zawsze najszlachetniejsza myśl, miłość rodzinnej ziemi i pragnienie jej dobra, choćby z ofiarą najdroższych uczuć serca. Daleki od wszelkiej przesady, z pilnością wybornego badacza śledząc świat i ludzi, z wielką znajomością układa z nich obrazki, oparte na zupełnej prawdzie a nigdy na skandalu. Jest-to pisarz czysto rodzimy, czasami scenę przenosi na obce obszary, ale zawsze znać, że to postacie nasze, że choć już wszechświatowe, na naszym jednak wychowane gruncie.

Od tych zasłużonych Jubilatów, galanterya dziennikarska wymagałaby przejścia do przedmiotów poważnej treści, ale jakże ta galanterya jest obecnie daleką od praktykowanej w XVII wieku.

Za wzór niech tu posłuży przewodnik salonowy, wydany w roku 1662 a noszący tytuł: „Niemiecki przewodnik w przyjemnych i wdzięcznych rozmowach salonowych, przez Albertusa Somera, notaryusza i obywatela w Hamburgu."

Między innemi, ciekawe dzieło to zawiera rozdział zatytułowany: „Rozmowy podczas odprowadzania do domu," to jest takie, które powinny mieć miejsce między młodymi ludźmi, idącymi razem do domu. Autor poleca tedy następującą konwersacyę. Kawaler mówi:

— Cnotliwa dziewico, mam ważny powód czuć się już odtąd szczęśliwym i cieszyć się, że dnia dzisiejszego gwiazda mojego szczęścia weszła dopiero na dobre. Albowiem nietylko miałem zaszczyt być obecnym w towarzystwie tak przyjemnych i wdzięcznych dziewic, lecz oprócz tego doświadczam honoru towarzyszenia do domu tak cnotliwej dziewicy.

Dziewica mówi:

— Panie, zapewniam, że dzisiejszego wieczora dziewice powinny się czuć szczęśliwe, gdyż miały zaszczyt być obsłużonemi przez tak grzecznego i skromnego kawalera. Szczególniej ja czuję się mu być obowiązaną za to, że zechciał wziąć na siebie wielki trud towarzyszenia mi do domu rodziców moich.

Kawaler:

— Cnotliwa dziewico, to ja raczej proszę o przebaczenie, że poważyłem się ośmielić zostać jej towarzyszem w powrocie do domu z wesela. Jej pełna wdzięku i wzruszająca mowa, jej przyzwoite ruchy i przyjemna wesołość, skłoniły mnie do tego; nie mogłem się tedy powstrzymać i zapragnąłem sam we własnej osobie przekonać się, czy zdrowa i bezpieczna zaszła do domu.

Dziewica:

— Panie, jego grzeczne czyny zobowiązują mnie do wdzięcznego odwzajemnienia się; dlatego będę takowe wobec każdego sławiła, dopóki nie znajdę sposobności wyświadczyć mu za to kilka przyjacielskich przysług honorowych.

W zakończeniu pomieszczamy przez panią Ludwikę z Jędrzejewiczów Ciechomską, siostrzenicę mistrza naszej muzyki Fryderyka Szopena, sprostowanie wiadomości dotyczącej instrumentu na którym Szopen grywał.

W numerze 13 „Tygodnika Mód" z roku bieżącego, powiada pani Ciechomska, znajduje się wzmianka przez panią Sewerynę Duchińską, w jej kronice podana, że ostatni fortepinn ś. p. Fryde-

ryka Szopena, znajduje się w Paryżu w posiadaniu p. Pleyela. Błędnej tej wiadomości muszę zaprzeczyć, fortepian bowiem Szopena, fabryki Pleyela, na którym przez ostatnie dwa lata życia swego grywał i komponował, opatrzony stosownym na blasze wyrytym napisem, przywieziony został zaraz po śmierci Szopena do kraju i odtąd przechowuje się u mnie, jako wyłączna moja własność. Instrument ten nie uległ bynajmniej zniszczeniu, jak to utrzymuje pani Duchińska, lecz przechował się szczęśliwie u mnie na wsi, gdy tymczasem fortepian fabryki Buchholtza, na którym ś. p. Fryderyk Szopen grać się uczył w Warszawie, uległ spaleniu.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **W obronie krzyżów.** „Przegląd Katolicki" podaje ciekawą, nader charakterystyczną wiadomość. Liberalna municypalność miasta Ljonu, kazała sprzątnąć na cmentarzach krzyże drewniane, ustawione na grobach, przeznaczonych dla ubogich (*fosse commune*). Krzyże te również nazywają się krzyżami biednych.

Bezbożny ten czyn wywołał ze strony ludności niebywałą dotąd w Ljonie demostrancyą. Dnia 29 marca kilkanaście tysięcy ludzi, najróżniejszych stanów, zebrało się pod katedrą i ztąd procesyonalnie udało się na cmentarz. Przybywszy tam, wstawiono na miejsce wyjętego krzyża, inny drewniany i złożono wkoło niego stosy wieńców kwiatowych.

Uczyniwszy to, tłum cały przeciągnął w milczeniu przez miasto aż do placu prefektury. Tu dziesięciu delegowanych udało się do prefekta i energicznem przemówieniem założyło protestacyą przeciw naruszeniu prawa, nietylko katolików, lecz wogóle chrześcian.

Prefekt odpowiedział delegowanym, iż z rozporządzeniem tem nie ma nic wspólnego, lecz, że oznajmi choremu chwilowo merowi życzenia katolików i uwiadomi delegowanych, kiedy będą mogli przedstawić się municypalności.

Odpowiedź tak zakomunikowaną została zebranym tłumom i przyjętą głośnemi okrzykami: „Niech żyje wolność!" Manifestacya ta wywarła silne wrażenie.

I kardynał arcybiskup ljoński, ks. Caverot, w liście otwartym zaprotestował przeciw takiemu gwałceniu zasad chrześciańskich.

*** **Szkoła praczek.** W Warszawie, jak doniosły kuryery, pewna pani powzięła zamiar założenia szkoły praczek, w której w kilkunastu lekcyach wykładane być mają praktycznie, sposoby prania bielizny, haftów i koronek.

Uczenice projektowanej szkoły obznajmiać się mają z praniem i prasowaniem, według nowej metody, która ma głównie na celu konserwowanie bielizny, a tem samem wyrugowanie z użycia wszelkich używanych dziś środków chemicznych, które nadając bieliźnie świetny połysk, niszczą ją zarazem.

Ile taka szkoła praktyczna jest potrzebną i konieczną nawet, dowodzić nie potrzeba — idzie tylko o to, aby założenie jej stało się faktem i aby pożyteczny projekt nie doznał losu „szkoły kucharek", która utonęła w oceanie projektów.

*** **Piękny zapis.** Marya Czarkowska, której nazwisko złotemi głoskami zapisanem zostało w dziejach filantropii, w Galicyi uczyniła znowuż bogatą fundacyę dla biednych.

20,000 złotych reńskich przeznaczyła na rozszerzenie lwowskiego domu sierot, a 100,000 złr. na utrzymanie sierot wyznania rzymsko i grecko-katolickiego.

Tak szlachetnemi dziełami, człowiek stawia sobie pomnik od spiżu trwalszy.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Komplementa.** Wiadomo, że wielu kobietom nie przypadają do gustu wszelkie wzmianki o metrykach i że w ogóle kwestya wieku jest dla nich drażliwą. Mężczyzni szanują tę drażliwość i trzymają się pod tym względem znanego aforyzmu, który powiada: „na co pytać róży jak dawno kwitnie, jest różą i dość na tem".

Kobiety wszakże jedna względem drugiej często trzymają się wprost przeciwnej zasady.

Uwydatnia to opowieść o trzech znakomitych śpiewaczkach, które niedawno bawiły jednocześnie w Nowym-Yorku.

Nilson słuchając śpiewu Patti, zawołała z zapałem:

— Co za przepyszny głos *w tym wieku!*

Patti nie pozostała dłużną i podczas występu Nilson krzyknęła:

— Co za głos! co za głos! miliony dałabym za to, żebym tak mogła jeszcze śpiewać w *jej wieku!*

Gerster, trzecia śpiewaczka odezwała się o obydwóch:

— Ileż miłych wspomnień budzą we mnie te artystki, których uroczym śpiewem zachwycałam się *jeszcze będąc dzieckiem!*

Mówiąc między nami, wszystkie te trzy gwiazdy blizkie *są* jubileuszu...

*** **Jakim sposobem z ministra Steina, prasa zrobiła św. Piotra.**

Niektórzy kronikarze, zwłaszcza francuzcy, mają zwyczaj tłomaczyć dosłownie na swój język imiona własne i tytuły, bez względu na to, że skutkiem podobnych przekładów, często zmienia się zupełnie sens i znaczenie wyrazów.

Tak naprzykład pewien korespondent niemiecki w Portugalii, wyczytał w gazetach wiadomość o korwecie niemieckiej São Pedro. Wiedząc dobrze, że żadna korweta niemiecka takiej nazwy nie nosi, zaczął dochodzić, któremu mianowicie okrętowi i jakim sposobem nadano ten tytuł.

Rzecz wyjaśnioną została: Oto pewien dziennik francuzki wziął z „Gazette de l'armée allemande" (właściwie „Deütsche Heereszeitung") wiadomość o korwecie „Stein" i przetłomaczył nazwę korwety na francuzki. Nie śniło mu się nawet zapewne, że korweta nazwaną została „Stein" na cześć znanego ministra niemieckiego Steina i przetłomaczył Stein na „Pierre". W dalszym ciągu wzmianka dostała się do gazety hiszpańskiej: tam przetłomaczono znów „Pierre" na „Pedro". Dziennik portugalski biorąc wiadomość z hiszpańskiego, do wyrazu Pedro dodał jeszcze „São" (święty) i nazwał korwetę „São Pedro". Z portugalskiej gazety wiadomość przeszła do niemieckiej, gdzie „São Pedro" przetłomaczono na „Heiliger Peter" i takim sposobem „Freiherr von Stein" przewędrowawszy przez kilka dzienników stał się „Świętym Piotrem".

*** **Zarząd domu gry w Monaco** padł w tych dniach ofiarą oryginalnego podstępu. Zarząd stara się zawsze, aby żaden samobójca (który targnął się na życie z przyczyny straty majątku w uroczem *casino*) nie został przez policyę znaleziony z pustemi kieszeniami, co przemawiałoby na niekorzyść domu gry. Skoro tedy gracz jaki opuszcza salę z oznakami zdradzającemi kandydata do samobójstwa, potajemny agent dąży za nim i wsuwa (zwykle trupowi) zwitek pieniędzy do kieszeni.

W tych dniach znów jeden z graczy, opuścił jak szalony salę i niebawem rozległ się oczekiwany strzał. Agent pospieszył wykonać powinność swoją, martwą ofiarę gry zaopatrzył w pieniądze i oddalił się szybko. Lecz jakież było zdziwienie pełnomocnika tej jaskini piratów, kiedy, powróciwszy po chwili, nie zastał samobójcy, ani nie znalazł śladów krwi. Dano znać do policyi, a niebawem zarząd domu gry dowiedział się, że padł ofiarą podstępu; albowiem mniemany samobójca za wsunięte mu do kieszeni pieniądze pojechał do Nizzy, gdzie się uraczył wykwintnem śniadaniem.

NOWE WYDAWNICTWA.

Meran i Argo jako lecznicze stacye klimatyczne, skreślił doktor medycyny Witold Jaroszyński, lekarz ordynujący w Meranie. Jest to naukowo opracowany podręcznik, oparty na doświadczeniu, przydatny zarówno tak dla lekarzy, jak i osób prywatnych, szukających poprawy zdrowia w zagranicznych lecznicach. Broszurka to niewielka ale napisana jasno i przystępnie, z wszelką otwartością wykazująca złe i dobre strony obu tych stacyi klimatycznych.

ZAWIADOMIENIA.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Апрѣля 1885 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Warszawa, Chmielna Nr 20.

Opis do N-ru 17.

(*Dalszy ciąg*).

N. 9—10. Koronka i kwadrat robotą szydełkową. Skrócenia: o. zamiast oczko; o. śc.—oczko ściste. sł.—słupek; o. pow.—oczko powietrzne; p.—pikot składający się z 4 o. pow. zaczepionych 1 o. śc. w pierwsze z oczek powietrznych.



N. 1. Sukieneczka wycięta dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 16 w N-rze 16.

Ryc. 10 przedstawia w naturalnej wielkości kwadrat szydełkowy, odpowiedni do kapy na łóżko, zaś ryc. 9 daje koronkę do obrobienia brzegów kapy, zmniejszoną do połowy w naturalnej wielkości. Duży kwadrat zaczyna się od środka czterema małemi kwadracikami robionemi w dalszym ciągu jeden przy drugim; robota zaczyna się na 15 o. pow., przy których robi się 13 rzędów ściegiem w prążki; na początku każdego rzędu dane 1 o. pow. Skończywszy rząd 13 robi się 2 o. pow. i przy jednym boku zaczyna się drugi kwadracik, po skończeniu tego trzeci i czwarty, dalej zaś wszystkie cztery kwadraciki obrabia dwoma rzędami o. śc. Ażurowe narożniki dodają się z boków, przyrabiając każdy do dwóch kwadracików, rzędami coraz krótszemi, idącemi tam i napowrót. Narożnik zaczyna się przy trzecim o. od rogu, robiąc * 1 o. śc. i przy niem 4 o. pow. i 2 sł. zajęte w o. śc., przerobione 1 o. wraz z pentelką będącą na szydełku, dalej 4 o. pow., a w pierwsze z nich w 2 sł. przerobione w górze 1 o.; powtarzać od gwiazdki. Wyższy rząd liczy trzy ząbki, trzeci dwa a ostatni jeden ząbek. Po skończeniu narożników dodaje się ramkę kwadratową, złożoną ze słupków, przedzielanych 3 i 6 o. pow.; każda strona ramki powinna liczyć 47 o. w pierwszym rzędzie, a w ostatnim przez przybieranie 3 o. na rogach 61 o. Robi się 9 rzędów ściegiem w prążki ozdobionym w odstępach muszkami, dalej 1 rząd słupków i znów dwa rzędy ścisłe. Każdy ząbek koronki składa się z trzech kwadratów, obrobionych u dołu rzędem dwa razy nawijanych słup. i ząbków z pikotami, a w górze mających szlaczek dodany podług ryc. 9.



Ubrania spacerowe dla panienek.

N. 3. Sukienka z długim stanikiem. N. 4. Sukienka paletocikowa.



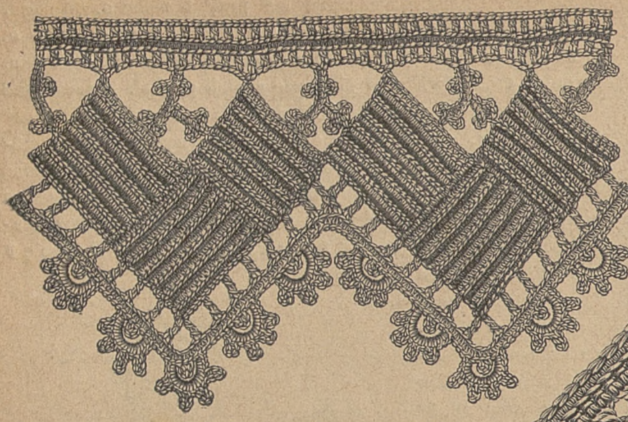
N. 2. Ubranie dla chłopczyka. Patrz ryc. 15 w N-rze 16.

N. 14—17. Kołnierzyki stojące.

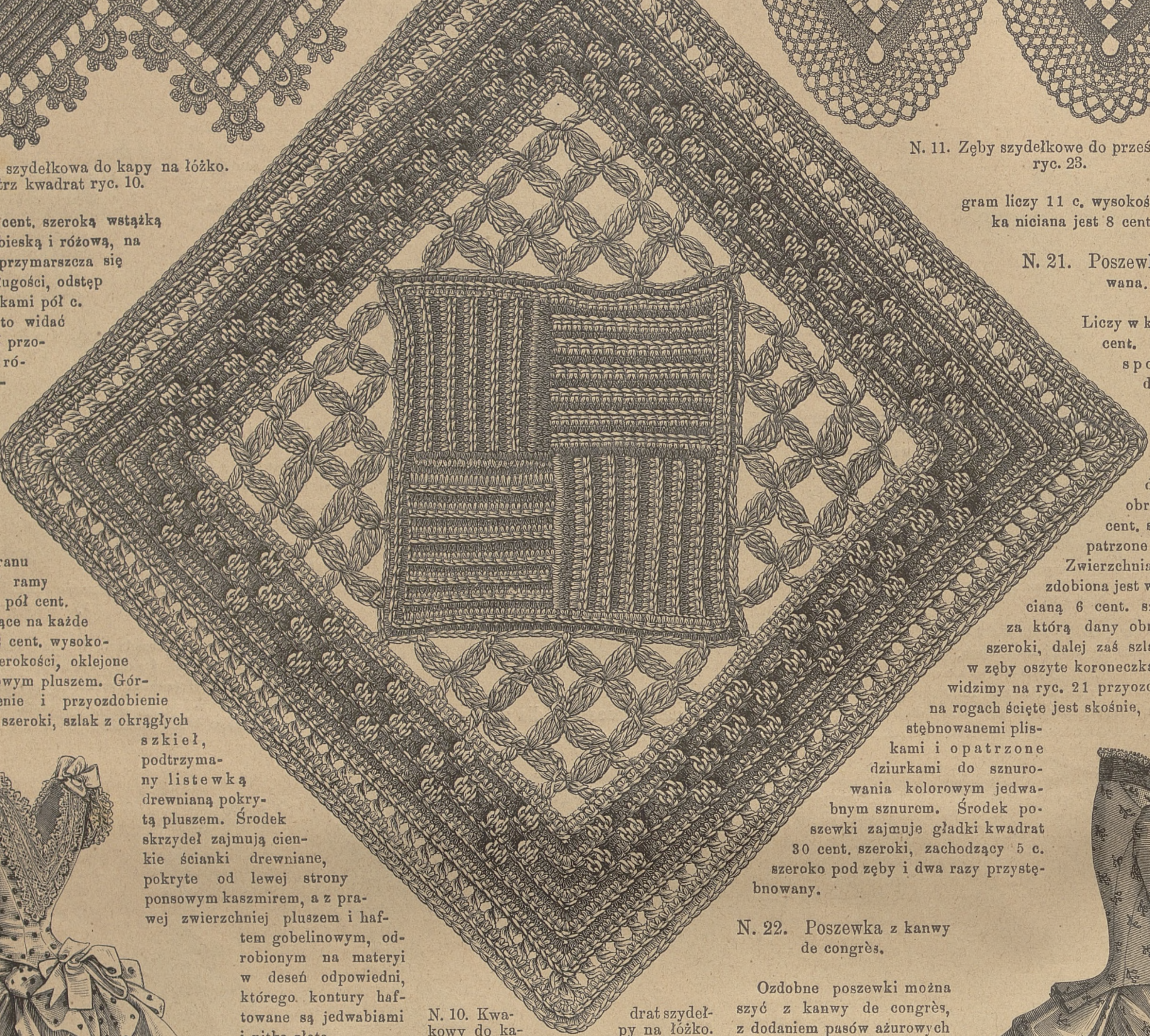
Ryc. 14 przedstawia kołnierzyk składający się ze skośnego 4 cent. szerokiego paska niebieskiego atłasu, podłożonego sztywnym muślinem, naszytego dwa razy złotą pletnią; górną połowę kołnierzyka stanowią płasko rzędami naszyte drobne niebieskie piórka; wzór naszycia (trochę w zmniejszeniu) przedstawia ryc. 16. Druga fryzeczka wskazana na ryc. 15 składa się z kawałka białej jedwabnej gazy, 76 cent. długiego a 10 cent. szerokiego, przemarszczonego w dwie bufki podwle-



N. 5. Suknia z szarfą. N. 6—7. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 30. N. 8. Suknia z draperyą. Patrz ryc. 28 w N-rze 16.



N. 9. Koronka szydełkowa do kapy na łóżko. Patrz kwadrat ryc. 10.

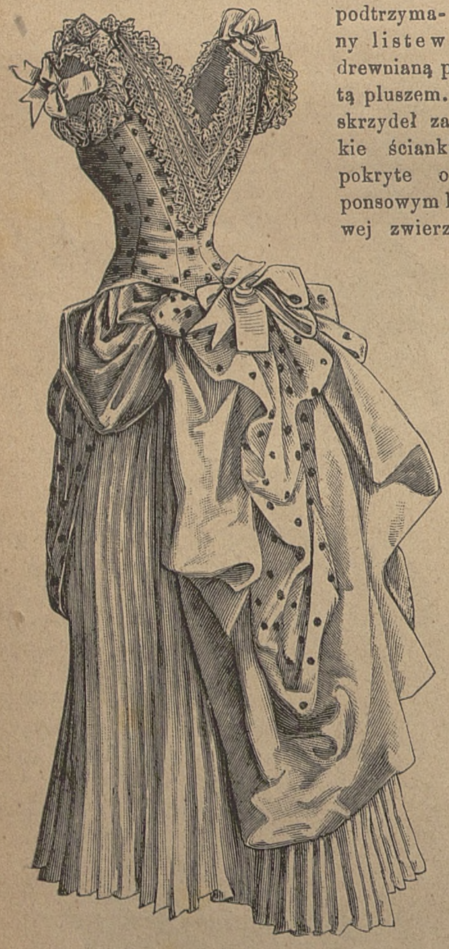


N. 10. Kwadrat szydełkowy do kapy na łóżko. Patrz ryc. 9.

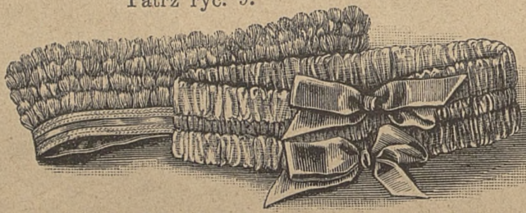
czone 1 i pół cent. szeroką wstążką atłasową, niebieską i różową, na której gaza przymarszcza się do 37 cent. długości, odstęp między wstążkami pół c. szeroki, jak to widać na ryc. 17. Z przodu kokardka różowa i niebieska.

N. 18. Ekran przed piec lub kominek.

Oprawę ekranu stanowią ramy drewniane 5 i pół cent. szerokie, liczące na każde skrzydło 122 cent. wysokości a 57 szerokości, oklejone ciemno ponsowym pluszem. Górne zakończenie i przyozdobienie stanowi 8 c. szeroki, szlak z okrągłych szkieł, podtrzymany listewką drewnianą pokrytą pluszem. Środek skrzydeł zajmują cienkie ścianki drewniane, pokryte od lewej strony ponsowym kaszmirem, a z prawej zwierzchniej pluszem i haftem gobelinowym, odrobionym na materyi w deseń odpowiedni, którego kontury haftowane są jedwabiami i nitką złotą.



N. 12. Ubranie wieczorowe. Patrz ryc. 27 i 29.



N. 14—15. Kołnierzyki stojące. Patrz ryc. 16—17.



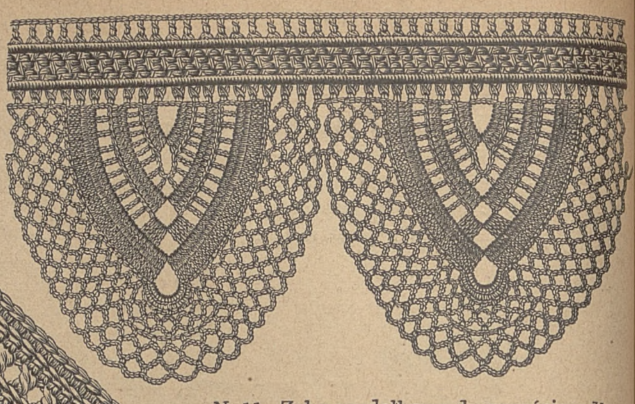
N. 18. Ekran przed piec lub przed kominek.

N. 19—20. Prześcieradło z wykładem. Haft płaski.

202 cent. długie a 154 cent. szerokie, ma w około brzegów obrobione dziurki, dane w obrębie przy wykładzie 3 cent., z boków 2 cent. szerokim, w odstępie 18 cent. jedna od drugiej. Ryc. 20 daje w naturalnej wielkości część deseniu, powtarzającą się 11 razy w szlaku zdobiącym wykład, odrobionym białą lub kolorową bawełną, ściegiem płaskim i sznureczkowym. Monogram liczy 11 c. wysokości; koronka niciana jest 8 cent. szeroka.



N. 16. Naszycie z piórek i pletni do ryc. 14.



N. 11. Zęby szydełkowe do prześcieradła ryc. 23.

N. 21. Poszewka sznurowana.

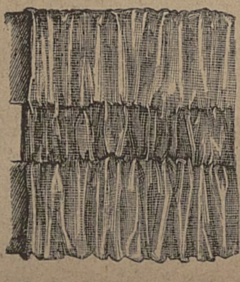
Liczy w kwadrat 68 cent. i jest od spodu urządzona do sznurowania, ku czemu dodane są dwa obręby, po 2 cent. szerokie, opatrzone dziurkami. Zwierzchnia strona ozdobiona jest wszywką nicianą 6 cent. szeroką, po za którą dany obręb 8 cent. szeroki, dalej zaś szlak wycięty w zęby oszyte koroneczką. Jak to widzimy na ryc. 21 przyozdobienie to na rogach ścięte jest skośnie, zakończone stębnowanemi pliskami i opatrzone dziurkami do sznurowania kolorowym jedwabnym sznurem. Środek poszewki zajmuje gładki kwadrat 30 cent. szeroki, zachodzący 5 c. szeroko pod zęby i dwa razy przystębnowany.

N. 22. Poszewka z kanwy de congrès.

Ozdobne poszewki można szyć z kanwy de congrès, z dodaniem pasów ażurowych tkanych fabrycznie. W poszewce ryc. 22 matowe brzegi przy szlakach ażurowych 18 cent. szerokich, ozdobione są wyszyciem krzyżykowem, kolorową bawełną, którą wyszyty rzucik środkiem poszewki.



N. 13. Ubranie wizytowe. Patrz ryc. 31 i 38.



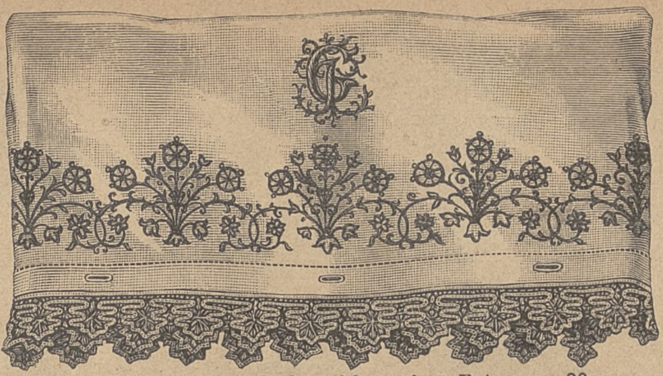
N. 17. Zmarszczenie gazy na wstążkę, do ryc. 15.

N. 23 i 11. Prześcieradło ze szlakiem szydełkowym.

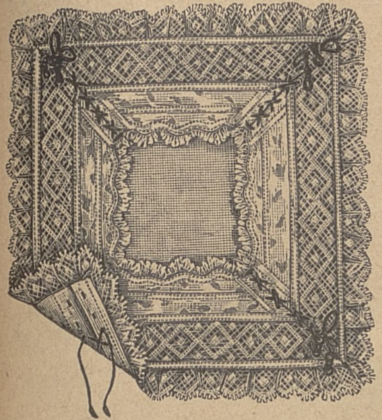
Poszewkę patrz na ryc. 11 w N-rze 16.

Ryc. 23 przedstawia prześcieradło wywinięte z brzegów na wierzch i zakończone koronką szydełkową 7 cent. szeroką, której zęby przypinają się na guziki. Na ryc. 11 daliśmy w zmniejszeniu próbkę tej koronki, bardzo

łatwej w robocie; każdy z ząbków wykonywa się oddzielnie, zaczynając przy szerokiej mignardissie, od środka ząbka 1 o. śc. zajętem w dwa pikoty, 2 o. pow. 1 o. śc. razem w dwa pikoty, dalej 14 o. pow., odwrócić robotę; 10 sł. zajętych za cały

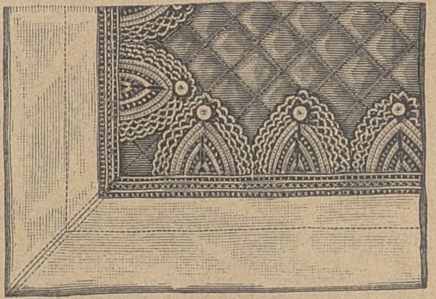


N. 19. Prześcieradło z haftem i koronką. Patrz ryc. 20.

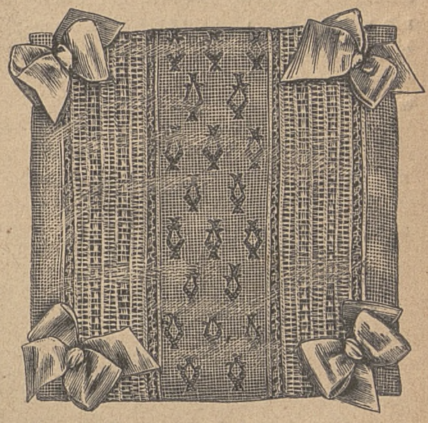


N. 21. Poszewka sznurowana.

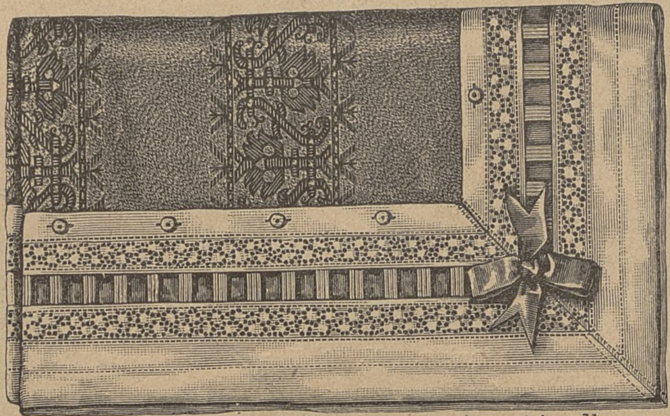
łańcuszek, 12 o. pow. i znów 10 słup., z których ostatni przyczepiony za dwa pikoty razem. Znów odwrócić robotę, zrobić 2 o. pow., zaczepić za 2 pikoty i robić w drugim rzędzie słupki przedzielane 2 o. pow., na środku ząbka 6 o. pow. i znowu 8 sł. przedzielanych 2 o. pow.; obrobionych w dalszym rzędzie 18 o. śc. co stanowi mocną pentelkę, do przypinania na guziki przyszyte do kołdry. Pięć obrobień składają ząbki z o. pow. (w trzech rzędach po 5 o. na ząbek, w dwóch ostatnich rzędach po 6 o. pow. na ząbek). Ostatni rząd ząbków dodaje się na zakończenie roboty i jak to widać na ryc. 11, łączy zęby między sobą. Ryc. 11 w N-rze 16 przedstawia poszewkę z wszywką odpowiednią do takiej koronki, złożoną z dwóch rzędów zębów schodzących się z sobą do środka, robionych w ten sam sposób co do ryc. 11 lecz zmniejszonych.



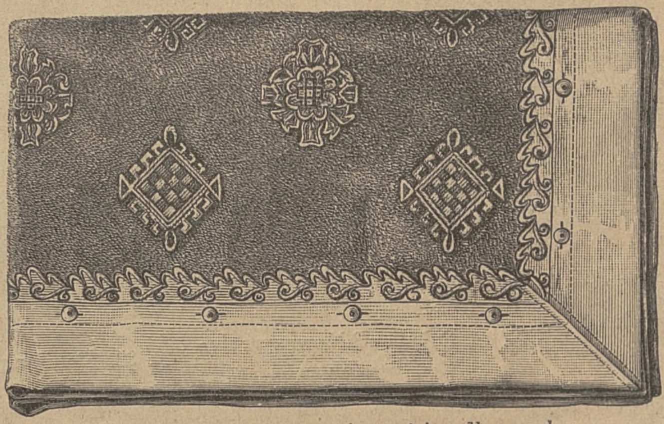
N. 23. Prześcieradło z zębami szydełkowemi. Patrz ryc. 11.



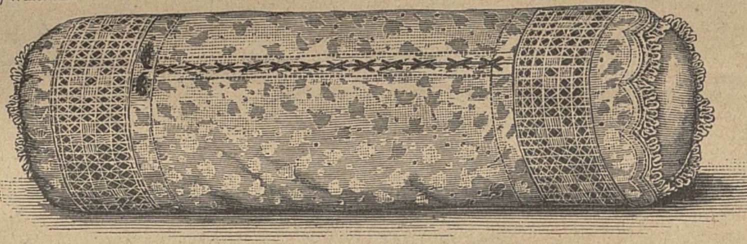
N. 22. Poszewka z kanwy „de congrès".



N. 24. Kołdra flanelowa haftowana w pasy i prześcieradło ze wszywkami.



N. 25. Kołdra haftowana i prześcieradło w zęby.



N. 26. Poszewka na wałek pod głowę.

N. 24. Kołdra flanelowa haftowana w pasy i prześcieradło z wszywkami.

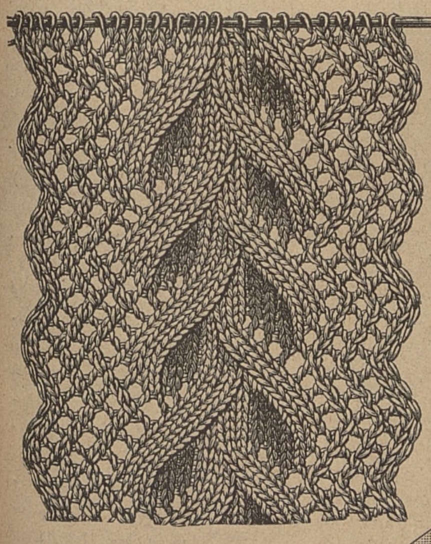
Piaskowa flanelowa kołdra ozdobiona jest pasami 17 cent. szerokiemi, haftowanemi kolorową włóczką angielską, do których deseń znajdą czytelniczki w N-rach Tygodnika Mód; trzy takie pasy dane w równych odstępach przez szerokość kołdry. Prześcieradło z cienkiego płótna wywinięte jest na wierzch na 28 cent. szerokości; w tę szerokość wlicza się dwa rzędy haftowanej wstawki po 4 i pół cent. szerokiej, przedzielonej 4 cent. szerokim pasem z gładkiego płótna, zastębnowanym w drobne zakładki i przecinanym w równych odstępach do przewleczenia wstążki kolorowej, na rogach związanej w kokardę. Po za wstawkami dany obręb 4 cent. szeroki, w którym obrabiają się dziurki.

N. 25. Kołdra flanelowa haftowana.

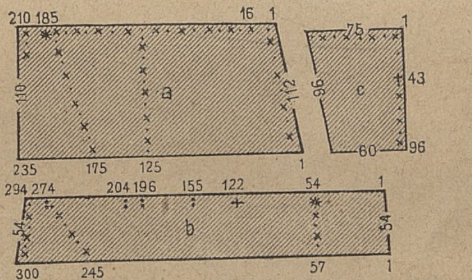
Popielata flanelowa kołdra 150 cent. szeroka, a 205 cent. długa ma całe tło, ozdobione haftem w duży rzut, odrobiony ściegiem płaskim i łańcuszkowym, grubą włóczką hamburską lub crevel, w kolorze ponsowym, zielonym, niebieskim i pomarańczowym. Prześcieradło wyhaftowane w zęby wskazane na ryc. 25; pod dziurki przystębnowana jest od spodu listewka 3 i pół cent. szeroka; na rogach brzegi ścięte są skośno i również podszyte listewką.

N. 26. Powłoczka na wałek pod głowę.

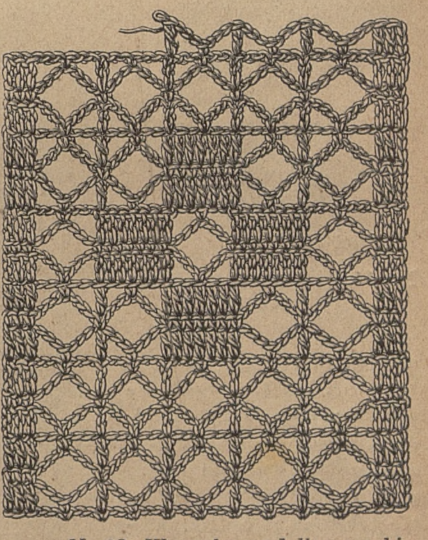
Uszyta z dymki deseniowej, liczy odpowiednio do wałka, 88 cent. długości a 76 obwodu; środkiem brzegi zastębnowane są wzdłuż na 2 cent. i mają obrobione dziurki do sznurowania kolorowym jedwabnym sznurem. Na końcach poszewki wszyta jest wstawka, po za którą brzegi wycięte są w zęby, dwa razy ostębnowane i oszyte koroneczką. Środek między zębami zajmuje okrągły kawałek gładkiej satynki, obrąbiony i wszyty pod zębami.



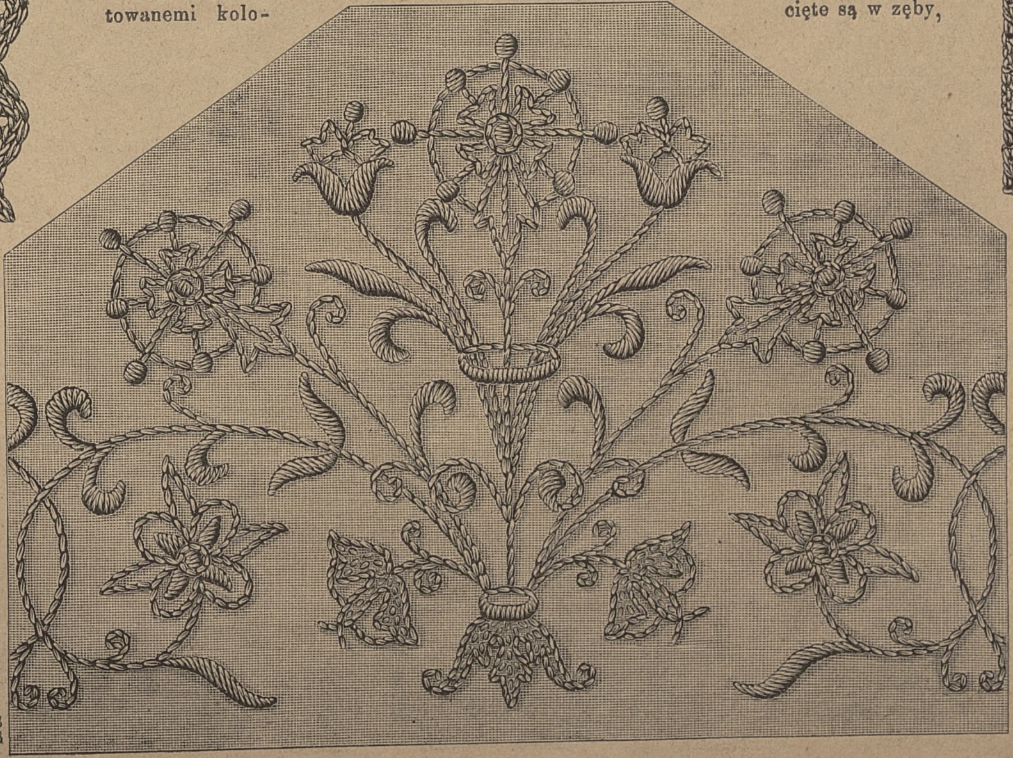
N. 27. Wszywka robiona na drutach.



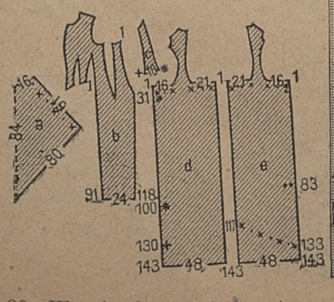
N. 29. Model kroju draperyi do ryc. 12 i 37.



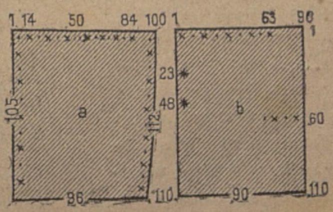
N. 28. Wszywka szydełkowa robiona poprzecznie.



N. 20. Część deseniu do prześcieradła ryc. 19.



N. 30. Wymiar kroju vêtement ryc. 6—7.



N. 31. Wymiar upięcia do sukni ryc. 38.

N. 32. Suknia z fałdowanym stanikiem.

Bluzki lub staniki fałdowane najwłaściwsze są do figur szczupłych i wysmukłych. Ażeby stanik fałdowany nie wznosił się i nie bufował na osobie, szyty jest zupełnie gładko, a fałdy dodane są oddzielnie na wierzchu, w górze przyszyte krytym ściegiem



N. 32. Suknia z fałdowanym stanikiem. N. 33. Stanik z gorsecikowem przybraniem. N. 34. Ubranie spacerowe.



N. 35. Kapotka przybrana koronką.

a na wcięciu stanu przystębnowane. Na każdej połowie przodów dane są po 3 fałdy, 4 i pół cent. szerokie, zwężone na wcięciu stanu, u dołu znów rozszerzone; na plecach dane pięć fałd, które w pasie zwężają się każda do 2 cent.

N. 33. Suknia z gorsecikowym stanikiem.

Przybranie gorsecikowe jakie widzimy na ryc. 33, może być stale przyszyte do stanika i odrobione z materyału sukni, lub wykończone oddzielnie z materyi i aksamitu i przypinane do różnych staników. Aksamitna część gorsecikowa składa się z czterech części, przykrojonych podług formy przodów stanika i ściętych bawetowo u dołu; górna część chusteczkowa z miękkiej deseniowej materyi, podchodzi pod ząb gorsecika, rozszerza się bufiasto na piersiach, na ramionach sfałdowana wązko, z jednej strony jest przyszyta lub przypięta poniżej ramienia, z drugiej przedłuża się w około szyi i przypina pod kokardą. Odpowiednio do formy stanika można dodać pasek zapięty z boku kokardą, lub nie dawać go wcale.



N. 37. Ubranie wieczorowe. Patrz ryc. 12 i 29. N. 38. Ubranie wizytowe. Patrz ryc. 13 i 31.



N. 36. Chusteczka żabotowa.

N. 34. Ubranie spacerowe.

Moda tegoroczna wiosenna daje pierwszeństwo paletocikom z luźnemi przodami, dla młodych osób jednak odpowiedniejsze są wcinane. Model nasz był z czarnego szewjotu z kamizeleczką jedwabną, zapiętą na kryte haftki, ozdobioną rzucikiem haftowanym czarnym jedwabiem. Po za kamizelką na przodach dane wyszycie sutaszem; na rękawach odpowiednie mankiety.

(D. n.)